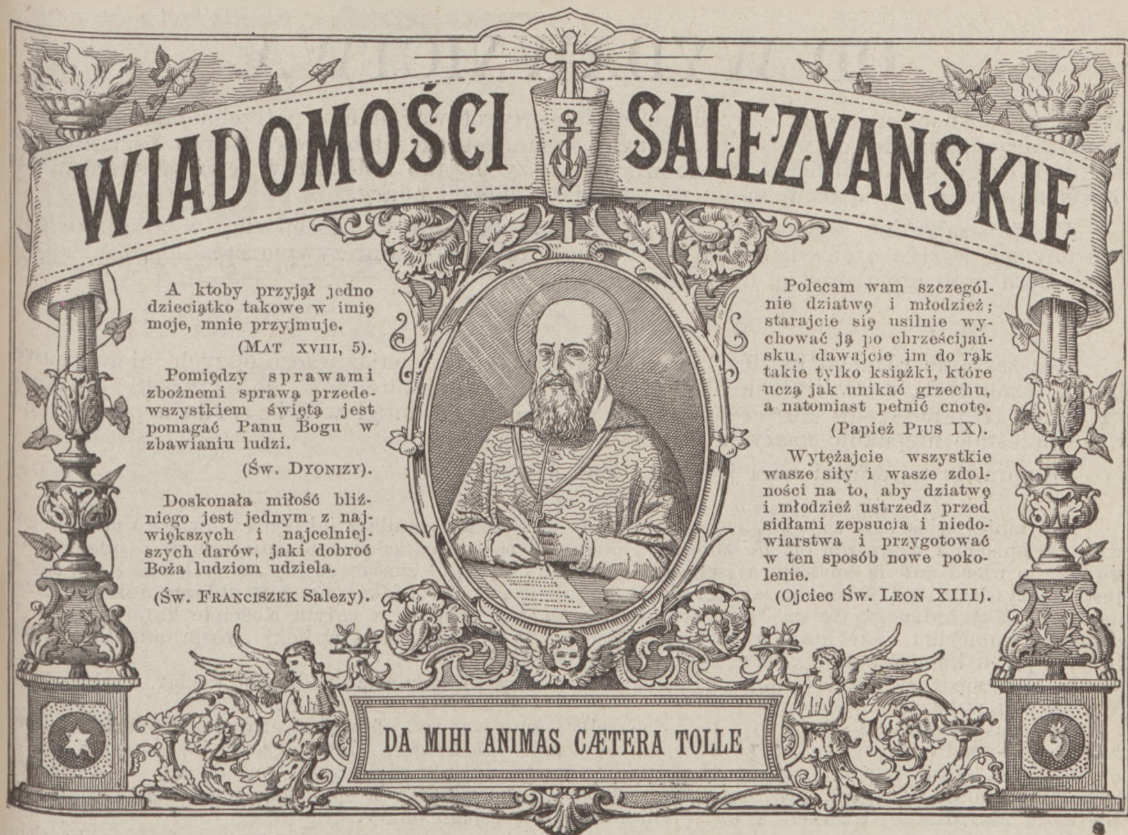
NUMER 5. ROCZNIK II. MAJ 1898.



Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA**.

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia* 9go *maja* 1876 *r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Różańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties**, *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Czerwiec.

9. Św. Bożego Ciała.
11. Św. Barnaby, Apostoła.
13. Św. Antoniego z Padwy.
17. Św. Najsłodszego Serca Jezusowego.
21. Św. Alojzego Gonzagi.
29. Św. Apostołów Piotra i Pawła.
30. Wspomnienie św. Pawła Apostoła.

OD WYDAWNICTWA.

Z przyczyn, od nas niezależnych, nie zdołano wygotować na czas potrzebnej ilości *obrazków pamiątkowych*, jako dowód wpisu do **Związku mszalnego Najsłodszego Serca Jezusowego**, wskutek czego kilkudziesięciu **Pomocników** naszych, jako kolektorów tegoż **Związku**, nie otrzymało dotąd *pamiątek* wzamian za nadesłane spisy i ofiary.

Przepraszając ich najmocniej za tak długą, choć nie z naszej winy wynikłą, zwłokę, prosimy ich jeszcze o chwilę cierpliwości, a postaramy się natarczywym żądaniom zapisanych przez nich osób czem prędzej uczynić zadość.

***

Rozszerzanie różnego kalibru „Związków mszalnych" najdziwaczniejszych, nieraz nawet bardzo szumnych, nazw i form, naśladujących zbyt widocznie nasz **salezyański Związek mszalny Najsłodszego Serca Jezusowego**, nie ustaje dotąd w Ziemiach polskich i nie przestaje niepokoić naszych **Pomocników**.

W sprawie tej donosi nam jeden z nich, co następuje:

„W mojej wiosce pewna kobiecina otrzymała z **Włoch** formularz jakiegoś „Związku mszalnego" wraz ze spisem i zaproszeniem do zbierania ofiar, od osoby, całkiem sobie nieznanej. Zamiast zastanowić się nieco nad tą sprawą, a zwłaszcza zapytać się kogo, znającego się na tych rzeczach, czy to jest rzeczywisty i od Kościoła zatwierdzony **Związek mszalny**, jakim np. jest **salezyański Związek mszalny Najsłodszego Serca Jezusowego**, rozszerzony obecnie w całym Kościele katolickim, — to poczciwa kobiecina, połechtana w swojej próżności, wzięła się raczej w boki i rozpromieniona chwaliła się przed kumoszkami: „*Aż w Italii o mnie wiedzą!*"

Zabrała się więc natychmiast do dzieła i zebrawszy kilkadziesiąt podpisów i ofiar, wysłała je do **Włoch** pod wskazanym adresem.

Tymczasem okazało się, że był to „Związek" samozwańczy, sfabrykowany przez jakichś wydrwigroszów, — podobno wywłoków ze Zgromadzenia salezyańskiego, — niedouczonych młokosów, którzy nie wiedząc, skąd ciągnąć grosz na hulanki i wygodne życie bez pracy, puścili się na oszustwa, utworzyli sobie „Związek mszalny," dali wydrukować ustawy i spis (na wzór **salezyańskiego Związku mszalnego**) i zaczęli w kraju zbierać na rzecz jego ofiary.

Sztuka udała im się znakomicie. Zebrali od poczciwego, a łatwowiernego naszego ludu, w krótkim czasie kilkaset marek.

Wzięli się zaś bardzo sprytnie do dzieła. Rozsyłali bowiem formularze swojego „Związku" z okolic **Turynu**, a posyłali je przedewszystkiem **Pomocnikom** salezyańskim, tym mianowicie, których nazwiska (łącznie z mniej więcej dokładnym adresem) wyczytali pomiędzy dziękczynieniami za łaski otrzymane w „**Wiadomościach salezyańskich**."

Teraz dopiero wyjaśniło się, jakim sposobem o prostej kobiecinie, mieszkającej w **Prusach Zachodnich**, „*dowiedziano się aż w Italii.*"

Niestety, za swoją łatwowierność, a więcej jeszcze próżność, została ukarana, gdyż ludzie, którzy jej ofiary byli złożyli, dowiedziawszy się o oszustwie, zażądali od niej zwrotu pieniędzy. Musiała biedaczka zwrócić wszystko z własnej kieszeni, a przyszło jej to z wielkim trudem, a większym jeszcze wstydem."

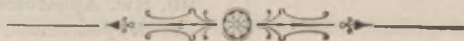
Tyle nasz **Pomocnik**.

My ze swej strony, w sprawie, o którą chodzi, nie mamy nic więcej do nadmienienia nad to, co było powiedziane w nr. 1ym (styczniowym) b. r. Radzimy być ostrożnymi i nie zapisywać się do pierwszego lepszego „Związku mszalnego," nie upewniwszy się wprzódy, czy jest od Kościoła katolickiego zatwierdzony, lub nie.

***

Dochodzą nas dalej z różnych stron zapytania, czy nowozgłaszających się **Pomocników** (którzy zwykle życzą sobie zarazem pobierać „**Wiadomości salezyańskie**") można podawać *każdego czasu*, tj. ilekroć zdarzy się, że ktoś okaże chęć i wolę zapisania się do **Związku Pomocników**, czyli też ma się z tem zaczekać aż do końca kwartału lub roku.

Odpowiadamy: **każdego dnia** można nam podawać imiona i nazwiska takich osób, które sobie życzą należeć, lub które można zapisać do **Związku Pomocników salezyańskich**. Otrzymawszy dokładny ich adres, nieomieszkamy wysłać im dyplom, regulamin i inne nasze druki, a także (o ile zapas starczy) **rocznik I (1897) „Wiadomości salezyańskich."**



MODLITWA
NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy**, *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa**, *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące.)

NOWENNA
i
UROCZYSTOŚĆ NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY,
Wspomożenia Wiernych,
w Turynie.



W niedzielę, 15go b. m., rozpocznie się w Oratoryum salezyańskiem w Turynie dziewięciodniowe nabożeństwo (czyli *nowenna*), jako przygotowanie do uroczystości najmiłościwszej Matki i Opiekunki naszej, **Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki**, w świątyni *Maria SS. Ausiliatrice*, na Jej cześć przez X. Jana Bosko wystawionej.

Codziennie od godziny 4 1/2-11 przed południem będą się odprawiały Msze św. i dana będzie wiernym sposobność przystępowania do Sakramentów Spowiedzi i Komunii św. O godzinie 5 1/2 i 7 1/2 rano chłopcy z Oratoryum odmawiać będą w czasie Mszy św. Różaniec i inne modlitwy, poczem nastąpi krótkie kazanie, litania do Matki Boskiej, *Tantum ergo* i udzieli się błogosławieństwa Najświętszego Sakramentu.

W poniedziałek, 23go maja, o godzinie 3 1/2 po południu, odbędzie się *konferencya* dla **Pomocników** salezyańskich, po niej zaś uroczyste błogosławieństwo Najśw. Sakramentu. Uczestniczący w takiejże konferencyi dostąpić mogą odpustu zupełnego, który ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące. O godzinie 5 1/2 pierwsze nieszpory Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, po nich kazanie o Najśw. Wspomożycielce i błogosławieństwo Najświętszego Sakramentu.

We wtorek, 24go maja, **Uroczystość Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.** Rano o zwykłych godzinach Msze św., modlitwy, przystępowanie do Komunii św., Różaniec i t. d.

O 10 1/2 suma, w czasie której chór wykona *Missam solemnem* Ign. Mitterera (*Ave Maria* w czasie Ofertoryum i *Exultate Deo* po Mszy św., P. L. Palestriny).

Wieczorem, o godzinie 6ej, drugie nieszpory Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, kazanie i błogosławieństwo Najśw. Sakramentu.

W środę, 25go maja, o 5 1/2 i 7 1/2 rano Msze św., wspólne przystąpienie do Stołu Pańskiego i modlitwy o spokój dusz wszystkich zmarłych **Pomocników** i **Pomocnic** salezyańskich, jak również **Braci** i **Sióstr Arcybractwa Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.**

MISYE SALEZYAŃSKIE

w

wikaryacie apostolskim

Mendez y Gualaquiza

(rzeczpospolita Ecuador).



(*Ciąg dalszy*).

3. Przeprawa przez „Matangę“. — Granadillas. — Zawalenie się *tambo*.

Nie opisuję pierwszego dnia naszej podróży. Ścieżka, po której pięliśmy się do góry, jakkolwiek dostępna dla bydląt jucznych, zdaniem samychże krajowców jest najgorszą ze wszystkich, jakie napotkać można na całym obszarze Rzeczypospolitej, — w czem, sądzę, się nie mylą. Góry niebotyczne, przez które trzeba się przeprawiać, to znowu głębokie jary, w jakie nieraz przychodzi się zapuszczać, gęste zarośla, płaskowyże, porosłe trawą, rwiące rzeki, szumiące po skałach, — wszystko to, razem wzięte, nadzwyczaj utrudnia podróż w *Kordylierach*. Prawda, że od czasu do czasu przed okiem wędrowca przesuwają się pyszne widoki, mogące sowicie wynagrodzić trudy poniesione, częściej atoli można napotkać strome przepaści, w których głąb aż straszno wzrok zapuścić.

Co się nas tyczy, — przez cały ten pierwszy dzień, prócz powyższych przeszkód, dawał się nam deszcz porządnie we znaki.

O zmroku przybyliśmy do *tambo* w Granadillas. Tak się nazywa mała osada, z domami, większą częścią leżącymi w gruzach, położona na niewielkim pagórku u stóp wysokiej i stromej góry, *Matanga*, w wysokości 1,800 metrów nad powierzchnią morza, lecz całkowicie ukryta w wąskiej i gęsto drzewami porosłej dolinie. Nie są to jeszcze lasy dziewicze, owszem, mnóstwo w nich daje się widzieć *bananów*, *cionta* i krzewów *kawowych*, które ręka ludzka tamże zasadziła. Dawniej osadę tę zamieszkiwało kilka rodzin białych; obecnie jedna tylko przebywa tam stale przez rok cały: jest nią rodzina p. Jezusa Maryi TORRES z Sigsig. Jeżeli nasza stacya misyjna w Gualaquiza rozwinie się — co daj Boże — szczęśliwie, to i Granadillas niechybnie podniesie się na nowo, zwłaszcza osiędą tu chętnie tacy, którzy tu posiadają pastwiska i grunta orne.

Zacna rodzina p. TORRES przyjęła nas w dom z wylaniem. Ale co to był za dom! Cztery ściany, utworzone z belek, ułożonych jedna na drugiej a obrzuconych błotem, stare już i lada chwila grożące zawaleniem się, mogące odstraszyć każdego, kto pomiędzy niemi pragnął znaleść dla siebie choćby tylko chwilowy przytułek. Bądź co bądź, zdobyliśmy się na tyle odwagi i weszliśmy do chaty. Zresztą noc już zapadła i deszcz lał jak z cebra, a w takich warunkach niezawodniej lepiej było schronić się choćby do pierwszej lepszej chałupy, niźli koczować gdzie pod gołem niebem.

Aż do tej miejscowości wyprzedził nas nasz przewodnik, a był nim człowiek, który w latach ubiegłych, dla braku misyonarza w Gualaquiza, pełnił obowiązki t. z. *cura* (= proboszcza), polegające na tem, iż chrzcił dzieci, znajdujące się w niebezpieczeństwie życia, w dni świąteczne zaś gromadził kilkoro chrześcijan, mieszkających w pobliżu i wspólnie z nimi odmawiał Różaniec. On to kazał zatrzymać tutaj statuy, o których pisałem wyżej, i, o ile się dało, wcale gustownie je umieścił w części izby, przeznaczonej dla nas, obstawiwszy je naokół rzęsistem światłem. Co za kontrast stanowił śliczny wizerunek Przeczystej Dziewicy i Jej św. Oblubieńca, otoczony jarzącem światłem w nędznej, zakopconej chacie, w której ścianach na wszystkie strony przeświecały szerokie szpary i wielkie jamy! Zdawało nam się, że się znajdujemy przy żłóbku w noc Bożego Narodzenia, z tą różnicą, że w stajence betleemskiej słyszano śpiewy anielskie, tu zaś w Granadillas skrzeczenie pewnych owadów, czy żyjątek ziemnowodnych, cieszących się z obfitego deszczu, jaki spadł w ciągu dnia dzisiejszego.

Matka Najświętsza i św. Józef, na których cześć przed statuami przez całą noc paliliśmy świece, widocznie otoczyli nas Swoją świętą Opieką, podtrzymując walącą się od starości chatę aż do chwili naszego odjazdu. Układliśmy się do snu w jej lepszej części na gołych deskach, podczas gdy gospodarstwo ustąpili na drugą stronę wraz z całym swym dobytkiem. Nazajutrz rano X. SPINELLI pragnął odprawić Mszę św.; lecz ponieważ nie przybył muł, niosący zapas wina mszalnego, postanowiliśmy wyruszyć natychmiast w dalszą podróż. Wielki Boże! Zaledwie dosiedliśmy koni, runęła stara rudera z łoskotem, zostawiwszy zaledwie tyle czasu swoim mieszkańcom, by módz wyskoczyć na dwór i ujść z życiem.

4. Lasy dziewicze. — Ich *flora* (= świat roślin) i *fauna* (= świat zwierząt). — Trudności, jakie tu napotyka podróżny.

Za Granadillas droga staje się coraz więcej spadzistą aż do rzeki *Rio Blanco*, na której w dogodnem miejscu rzucono mostek drewniany. W dalszym ciągu podróży napotyka się *Rio Tigrepungo*, który, pomimo dość rwiącego biegu, można przebrnąć bezpiecznie. Znowu przez kilkaset metrów przychodzi piąć się pod górę, niezadługo jednakże droga zaczyna się ciągle zniżać, trzymając się stale lewego brzegu *Rio Blanco*.

Tu już znajdujemy się prawdziwie w lesie dziewiczym strefy tropikalnej. Olbrzymie drzewa wszelkich gatunków pokrywają całkowicie stoki gór i wąskie a głębokie doliny. Wzdłuż drogi widać potworne *cedry*, co przy osadzie nadzwyczaj są pękate (mierzą bowiem przeciętnie 15 metrów, a nawet więcej, obwodu), lecz już na kilka łokci od ziemi coraz więcej się zwężają, tak iż średnica objętości wynosi najwyżej 2 metry, i w takich właśnie rozmiarach wyrastają do niezwykłej wysokości. Podobnych wszakże olbrzymów jest tu bardzo mało, ponieważ jeszcze w młodym wieku tłumią ich wzrost zwoje *liniańów* i najróżniejszych pnących się i pasożytnych roślin.

Nie tak obfita jest zato *fauna*. Mając w świeżej pamięci poetyczne opisy niektórych podróżników, sądziliśmy, że las będzie rozbrzmiewał echem śpiewu drobnego i większego ptactwa różnego gatunku i barwy; lecz wielceśmy się pod tym względem rozczarowali. Ptaków widać było bardzo niewiele: zaledwie zoczyć było można kilka gromad skrzeczących papug i niewielką ilość ptaszków muiejszych, o upierzeniu jaskrawem. Zdaniem mojem, ten brak powszechny ptaków w tutejszych lasach przypisać należy częstym i nawalnym deszczom, które również bardzo przeszkadzają mnożeniu się jadowitych gadów, gdyż i tych na terytoryum gualaquizkiem napotyka się bardzo mało.

Ze zwierząt przebywa w tych lasach kilka gatunków małp; znajdują się tam również *dziki*, *tapiry*, *jelenie*, jak niemniej zwierzęta drapieżne i mięsożerne.

O dziewiątej rano tegosamego dnia przybyliśmy do Chigüinda, maleńkiej osady, położonej nad brzegiem rzeki takiejże nazwy. Składa się z kilku gospodarstw, bardzo licho uprawianych i prawie całkiem zaniedbanych. Tylko trzy rodziny na stałe się tam osiedliły; inne zjawiają się tu zaledwie w czasie zasiewów i żniw. Chigüinda leży na wysokości 1,750 metrów nad powierzchnią morza.

Od tej osady jechaliśmy dalej w kierunku południowo-wschodnim po jedynej drożynie, jaka przedziera się przez gęstwiny leśne. Od czasu do czasu napotyka się także tu miejsca, trudne do przebycia, strome urwiska i grozą zdejmujące przepaście. Olbrzymie pniaki drzew powalonych zagradzają drogę, a bywało nieraz, że nie mogąc ich bezpiecznie przejść, musieliśmy zbaczać z drogi, drapać się po stoku góry, przedzierać się przez gęstwinę drzew, przeprawiać się przez błota i moczary, drepcąc po gruncie śliskim, pokrytym gęstą siecią wrosłych korzeni, stanowiących rzeczywiste niebezpieczeństwo dla kopyt biednych naszych mułów.

Mniej więcej około południa stanęliśmy w podobnie, jak Chigüinda, maleńkiej osadzie, zwanej Rosario.

5. Straszny wąwóz. — Okropna rzeź.

Także za Rosario droga wije się po długim i mocno spadzistym skłonie góry: nader wąską doliną stacza się coraz niżej aż do *Rio Blanco*, przez który przechodzi się po moście, bardzo niebezpiecznym i prawie doszczętnie zrujnowanym. Po prawym brzegu rzeki drożyna prowadzi dalej aż do *faktoryi Cuchipamba*, a zawsze w jednakowy sposób: raz w górę, to znowu na dół, raz tuż nad brzegiem rzeki, to znowu nad brzegiem przepaści. *Rio Blanco* przecina tu łańcuch poprzeczny *Kordylierów*, co w ubiegłych wiekach łączył góry, ciągnące się wzdłuż prawego jej brzegu, z górami, leżącemi na brzegu przeciwnym. Przełom ten, dokonany przez wody rwiącej rzeki, mierząc go od wierzchołka góry po prawej stronie, jest mniej więcej 1,000 metrów głęboki. W części niższej jest istotnie straszny; miejscami zwęża się do tego stopnia, że spoglądając w dół, wydaje się, jak gdyby się patrzało do głębokiej studni: niepodobna dosięgnąć wzrokiem jego dna. Słychać tylko przeciągły huk przewalających się wód, których gwałtowny pęd wskazuje, że ze znacznej spadają wysokości.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej przerażającego dla podróżnika, jak przeciskać się z bydlęciem poprzez wąziutką drożynę na samym brzegu tej strasznej rozpadliny, której ściany niekiedy sterczą prostopadle nad przepaścią. Zato, gdy się nareszcie minie ten straszny jar, widnokrąg od razu się rozszerza; góry po prawej stronie zniżają się coraz bardziej ku zachodowi i giną wreszcie na rozległej równinie między rzeką *Zamorra* a *Bomboiza*. Po lewej stronie ciągną się równolegle do biegu rzeki, ale i one znacznie się zmniejszają.

Prawie na połowie drogi pomiędzy Ro-

sario a Cuchipamba napotyka się maleńką równinę; jestto miejsce, gdzie istniała dawniej wcale znaczna i ludna osada, Rosario, z własną kapliczką, w której misyonarz, co od czasu do czasu zapuszczał się w te strony, odprawiał Mszę św., słuchał spowiedzi i głosił słowo Boże. Obecnie niemasz tu śladu ani kaplicy, ani mieszkań ludzkich. Wznosi się tylko na środku równiny grubo ociosany krzyż, ozdobiony kwiatami, pod którym niewielu okolicznych mieszkańców zgromadza się, by wspólnie odmawiać Rożaniec, wyglądając z utęsknieniem przybycia jakiego misyonarza.

Osadnicy, o jakich mowa, mieszkają w chatach (*chozas*), w niewielkiej od krzyża odległości.

Naprzeciwko Rosario, na przeciwległym brzegu *Rio Blanco*, rozłożyła się inna jeszcze kolonia, Aguacate, niewiele ludniejsza od Rosario. W obu tych osadach, położonych w klimacie gorącym i na gruntach żyznych, mogliby mieszkańcy z wielkim pożytkiem uprawiać ziemię, gdyby naprawdę chcieli i umieli koło niej chodzić.

Nocowaliśmy w *tambo* Cuchipamba, przyjęci w dom i podejmowani z wielką gościnnością przez p. QUINTANILLA.

Posłyszawszy, że zatrzymujemy się tam na noc, niedługo trwało, a zbiegła się prawie cała ludność z Rosario, Aguacate, Cuchipamba i San José — osady, z którą w dalszym ciągu podróży jeszcze się spotkamy, — prosząc o błogosławieństwo kapłańskie i spowiedź. Można sobie wyobrazić, z jaką radością drogi nasz X. SPINELLI czynił zadość gorącym ich pragnieniom. Na przyszłość mamy nadzieję odwiedzać ich częściej i przepędzać co najmniej kilka dni pomiędzy nimi.

Cuchipamba, jako się wyżej rzekło, leży na prawym brzegu *Rio Blanco*. Tutaj, właśnie przed dwudziestu kilku laty, zaszła okropna rzeź, o jakiej dziś jeszcze ze zgrozą wspominają tutejsi mieszkańcy.

Oto co nam opowiadano za naszego tamże pobytu.

Trzech Jivaros, z okolic Gualaquizy, przechodząc tędy, prosiło o nocleg, choćby w przysionku *tambo*; ponieważ dość dobrze im z oczu patrzało, zatem udzielono im go chętnie. Lecz skoro tylko ciemność zaległa ziemię i głuche zapanowało milczenie nocne, a zawiadowca, który się był położył na hamaku *), a z nim trzydziestu robotników i służby, rozciągniętych na podłodze, pogrążyło się w śnie głębokim, wtedy owi trzej dzicy wstali po cichu, ujęli za oszczepy i piorunem rzucili się na śpiących. Nasamprzód padł ofiarą ich krwiożerczości zawiadowca, który otrzymawszy dzidą cios w samo serce, prawie w tej samej chwili wyzionął ducha. Ośmieleni udanym zamachem na gospodarza domu, rzucili się Jivaros jak tygrysy na ubezwładnionych robotników, z których w niewiele chwil dwudziestu sześciu legło snem wiecznym pod ciosami morderców. Czterech tylko zdołało uciec. Tragiczne to zajście (i drugie temu podobne, jakie się wkrótce potem wydarzyło we *faktoryi Bomboiza*, własności p. Wilhelma VEGA), rzuciło postrach na osadników chrześcijańskich w całem terytoryum gualaquizkiem i stało się główną przyczyną upadku tutejszych osad.

Naprzeciwko Cuchipamba, pomiędzy *Rio Blanco* a *Rio San José*, w klimacie zdrowym i na gruntach urodzajnych, wznosi się maleńka osada tej samej nazwy, składająca się mniej więcej z 20 rodzin. Wysokość jej nad powierzchnią morza wynosi 1,150 metrów. Skoro przyjdzie do założenia misyi w Gualaquiza, San José niechybnie stanie się ważną osadą.

Opuszczając Cuchipamba, przeprawiliśmy się na drugi brzeg *Rio Blanco* i *San José*: droga wznosi się coraz wyżej w kierunku południowo-wschodnim, aż do *Szczytu trzech krzyżów*. Władze miejskie z Sigsig rozkazały utorować kilka mil tej drogi, a gdy powracaliśmy z Gualaquizy, zastaliśmy robotników p. Wilhelma VEGA, jak prawie już kończyli nowy jej kawał, okrążający bardzo wysoką górę *San Joaquin*.

5. Dolina Gualaquizy. — Pierwsze nasze spotkanie z Jivaros.

Co za pyszny widok przedstawia dolina Gualaquizy, gdy się na nią patrzy ze *Szczytu trzech krzyżów*! Dolina-to nader rozległa, słynna na cały Ecuador, powstało z połączenia dwóch dolin pobocznych, spływających jedna od północy, a druga od wschodu, okolona zewsząd niewielkiemi górami, lub raczej pagórkami, o stokach, łagodnie i lekko spadających, jak daleko oko sięga, pokryta bujną roślinnością, zachwycającą oko podróżnego i rozmaitością barw i ogromem kształtów. W samym jej środku, *Rio Gualaquiza* wije się wężykiem, tocząc swe jasne, jak kryształ przezroczyste wody, pomiędzy plantacyami trzciny cukrowej i kawy, gajami, złożonymi z palm, drzewek cytrynowych i pomarańczowych, a stanowiącymi t. z. *entables*, czyli

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie*, rocznik I, nr. 10, str. 254.

własność, niewielkiej liczby chrześcijan, tamże osiedlonych. Blado-zielona barwa tych drzew i krzewów, wcale starannie hodowanych, pośród których wznosi się licha chata osadnika, bardzo przyjemnie odbija od ciemno-zielonego tła gęstych lasów, jakimi przeważna część doliny i stoki otaczających ją gór są porosłe. Naprożno atoli wzrok szuka po dolinie domków Indyan J i v a r o s, te bowiem kryją się wstydliwie w gąszczu, pokrywającym pagórki.

Na widok takich cudów przyrody, umysł podróżnego się rozwesela, serce mu się rozszerza, w niepamięć puszcza minione trudy i niebezpieczeństwa. Tylko, że chcąc się dostać do tej zaczarowanej krainy, potrzeba mu wpierw przebyć przykrą nad wyraz drogę, pełną moczarów, najeżoną gałęźmi i pniami powalonych drzew, zastawioną szeregiem istnych sideł i sieci, utworzonych przez wijące się we wszystkich kierunkach, krzyżujące, plączące się korzenie w owych błotach, w których biedne bydlęta zapadają czasami aż po piers, wydobywając się z toni prawie za każdym razem z jakimś szwankiem, bądź dla siebie, bądź dla jeźdźca.

Nareszcie o pół do trzeciej po południu, w sobotę 14go października, dostaliśmy się szczęśliwie do pierwszego domku (*choza*) G u a l a q u i z y, zwanego *Yumaza*. Tam zastaliśmy z jakie dwudziestu chrześcijan (białych), którzy dowiedziawszy się o naszem przybyciu, wyszli na nasze powitanie. Oczy wszakże nasze padły natychmiast, i to z wielkiem zadowoleniem, na gromadkę J i v a r o s, stojących opodal, w zwykłym kostyumie, z nieodzownym oszczepem w ręce, w postawie, prawie rzekłbym, pełnej powagi. Zaledwie zeskoczyliśmy z koni, zbliżyli się zaraz ku nam i, podając nam rękę, pytali śmiało i dumnie:

— „*Como estando?*“ (= jak się mając?).

Wiedzieliśmy już, że J i v a r o s gualaquizcy, dzięki częstemu stykaniu się z białymi, umieją od biedy rozmówić się po h i s z p a ń s k u, przy czem czasowniki (*verba*) kładą zawsze w *gerundium* (imiesłowie przysłówkowym); zatem i my staraliśmy się z nimi porozumieć, mówiąc takim samym żargonem i posługując się zdaniami, ile możności, jak najkrótszemi.



Typ Indyanina J i v a r o.

Ciekawa to była rozmowa! Powiedzieliśmy im, że przybyliśmy do G u a l a q u i z y, aby

się nimi zająć, nauczyć ich, jak się kuje żelazo i wyrabia z niego szable, włócznie i noże, jak również, że przywieźliśmy dla nich dużo pięknych i bardzo cennych podarków. Nadzwyczaj uradowani spoglądali jeden na drugiego, dając sobie różne znaki i rzucając wzajemnie spojrzenia wymowne, a gdyśmy nanowo siadali na koń, by ruszyć w dalszą drogę, puścili się co tchu, by podzielić się dobrą nowiną ze swymi współplemieńcami, co nas oczekiwali zgromadzeni na wzgórzu, gdzie wznosił się kościół i dom misyjny, zbudowany przed dwudziestu laty przez słynnego misyonarza, Jezuitę O. Pozzi.

6. Na środku doliny Gualaquizy. — Dawny kościół i tymczasowa kapliczka.

Prześliczne to wzgórze, wznoszące się ponad równinę w wysokości mniej więcej 30 metrów, po prawym brzegu *Rio Gualaquiza*, w swojej wyższej części oddzielone od pobliskiej góry niewielką doliną, przedstawia jakby stożek, ścięty u góry i nieco pochyły. Z jego szczytu widać jak na dłoni całą dolinę gualaquizką, od zlewu dwóch potoków, tworzących *Rio Gualaquiza*, aż do tegoż ujścia do *Bomboizy*, w odległości 10 kilometrów na płd.-płd.-wschód. Najpiękniejszy krajobraz przedstawia połać wschodnia: u stóp pagórka roztacza się dolina, zasiana gęsto chatkami, wychylającemi się z pośród bananów, trzciny cukrowej, pomarańczy, cytryn i drzewek kawowych; są to ubogie domostwa chrześcijan, osiadłych tam, bądź na stałe, bądź tylko na czas zasiewu i żniw; nieco dalej piętrzą się jedne za drugimi pagórki, najprzód niskie, potem wyższe, potem jeszcze wyższe, aż nareszcie przychodzą góry, pokryte gęstym lasem o ponurej zieleni, nadającej całemu krajobrazowi wygląd dziki i wspaniały zarazem.

Na płaskim szczycie rzeczonego wzgórza, jakem to już nadmienił, zbudował ostatni nasz poprzednik dość wielki i wcale piękny kościół, a obok niego *schronisko*; ale po jego odjeździe tak kościół, jak i *schronisko* całkiem opuszczono i wkrótce zostały z nich tylko zwaliska. Z resztek budynku wystawiło kilku chrześcijan gualaquizkich kaplicę z dwiema izdebkami, przeznaczając je na mieszkanie dla misyonarzy, o których przyszła wieść, że niezadługo zawitają w tutejsze strony. Ku tej kapliczce więc skierowaliśmy nasze wierzchowce, jadąc w ślad za przewodnikami, po drodze, na której nieomieszkano wystawić dwa łuki tryumfalne z gałęzi, przystrojone kwiatami i, wedle miejscowego zwyczaju, wypchanymi ptakami o jaskrawem upierzeniu. W jednej chwili otoczyli nas inni jeszcze chrześcijanie i wielka rzesza Jivaros, tak mężczyźni, jak kobiety i dzieci, którzy posłyszawszy o naszem przybyciu, przybiegli nas powitać i ofiarować nam *yuca* (trufle amerykańskie), owoce z *platanów* i suszone ptaki.

Obdarowawszy nas tak, pytali się zaraz z otwartością, właściwą dzikim:

— „*Y vos que regalando?*“ (= A wy, co nam dając?).

Odpowiedzieliśmy, że kufry z podarkami, przeznaczonymi dla nich, pozostały jeszcze w tyle; ale niech przyjdą do nas w kilka dni później, a niechybnie dostaną wiele pięknych rzeczy.

Zadowoleni tą obietnicą, rozeszli się uradowani do swoich *tambos*. My zaś, przyjmując po kilkakroć już ponawiane zaprosiny p. Wilhelma Vega, któremu owe dwie izdebki tuż obok kaplicy, przygotowane dla nas, wydawały się zbyt ciasne i liche, rozgościliśmy się w jego domu i mieszkaliśmy tam przez cały czas naszego pobytu w Gualaquiza, podejmowani przezeń i zacną jego rodzinę z wyszukaną grzecznością.

Dni następnych pokazało się, że Jivaros doskonale pojęli nasze słowa, całemi bowiem gromadami przychodzili nas odwiedzać, a zarazem prosić o podarunki, których im też bynajmniej nie skąpiliśmy. Były to igły, nici, szpilki, świecidełka, cacka, noże, nożyce, chusteczki do nosa, koszule i t. d., co wszystko przyjmowali z głośnymi okrzykami radości i wdzięczności.

Dzicy ci krajowcy nadzwyczaj są ciekawi i wymagający. Chcą widzieć i oglądać wszystko i pragną posiąść, cotylko zoczą, muszę jednakże na ich pochwałę wyznać, iż nie zauważyliśmy nigdy, aby który z nich dotknął się choćby nitki, nie poprosiwszy wpierw o pozwolenie. Co więcej, zapewniali nas tacy, którzy często z nimi mieli do czynienia, że u Jivaros, których jeszcze nie zepsuł zły przykład, jaki im słowem i czynem dają niektórzy biali, uważany jest za niegodziwca ten, co dopuści się kłamstwa lub kradzieży.

Za pomocą takich oto podarków ujęliśmy ich sobie do tego stopnia, że bez ustanku wykrzykiwali i opowiadali innym, że *los Padres muy buenos siendo* (= Ojcowie są bardzo dobrzy). Wieść ta przeszła z ust do ust i rozniosła się po całej okolicy tak, że niedługo trwało, a zaczęli do nas przybywać gromadami nietylko Jivaros gualaquizcy, lecz nawet Indyanie z okolic Mendez i z równin *Zamory*.

7. Indyanie Jivaros.

Widząc, że pole do pracy misyonarskiej było tak dobrze przygotowane, porzuciliśmy wszelkie obawy, jakie mogliśmy mieć co do dzikich i ku wielkiej ich radości, zaczęliśmy ich odwiedzać we własnych ich chatach.

Główną cechą Indyan Jivaros jest usposobienie podejrzliwe, nieufne, a nawet wprost zdradzieckie. Jeszcze niewiele lat temu nawet Jivaros gualaquizcy, uchodzący powszechnie za pół-ucywilizowanych, popełniali takie zbrodnie i dopuszczali się nieraz takich okrucieństw, że strach, jaki powszechnie przed nimi mają biali, jest pod każdym względem uzasadniony. Z tem wszystkiem dla misyonarzy wielki żywią szacunek, są bowiem przekonani, że ci życzą im dobrze i że mogą wyświadczyć im wiele dobrego. Mimo to, nawet misyonarze powinni, gdy tego zachodzi potrzeba, okazać się rezolutnymi, a wogóle mieć się zawsze przed nimi na baczności. Co do mnie, znając ich na wylot, nie wychodziłem ani razu z domu, nie zarzuciwszy przedtem strzelby na ramię, a od czasu do czasu dawałem w obecności dzikich dowody straszliwej siły, jak niemniej skuteczności jej wystrzału. Nie zaniedbując więc żadnych środków ostrożności, jakie nakazywała roztropność, mimo to okazywaliśmy Indyanom, że im ufamy bezpiecznie; wiele razy zatem daliśmy się im przewozić na ich czołnach przez rzekę i spędziliśmy w ich gronie noce, bądź w lesie, bądź we własnych ich chatach.

Jivaros są wogóle wzrostu średniego, ale barczyści i silnie zbudowani. Kolor skóry ich ciała jest różny: zwykle bywa miedziany, niekiedy wszakże przechodzi w brunatny a nawet brudno-żółtawy. Układ czaszki i forma głowy nie ma w sobie nic uderzającego, z wyjątkiem chyba nosa, nieco spłaszczonego, i rozdętych nozdrzy; kąt twarzy mają prosty, profil oczu poziomy, jak w rasie kaukaskiej, kości policzkowe lekko wystające. Zarostu twarzy brak im całkowicie, choć niektórzy, zwłaszcza w podeszłym wieku, mają pod nosem coś podobnego do wąsów, jakoby meszek, z którego czasem uda się im skręcić maleńki frędzelek. Włosy, które zawsze noszą starannie uczesane, są u wszystkich czarne i nadzwyczaj gęste; z przodu zwykle krótko przystrzyżone aż do pół głowy; po bokach natomiast są długie i, ujęte barwną wstążką, okręcone i obwiązane naokoło głowy nakształt wieńca; tylne włosy są bardzo długie, splecione w warkocz, u końca którego, zwłaszcza przy sposobności jakiego święta, uczepiają ptaki suszone, o piórach jaskrawych, co kołysząc im się za plecami, migają w słońcu jak brylanty. Mają dalej zwyczaj przedziurawiać sobie uszy i otwór rozszerzać do tego stopnia, że z łatwością mogą przezeń przetknąć kawał trzciny, grubości wielkiego palca; w trzcinie tej tkwią zwykle igły, długie na dwadzieścia pięć i więcej centymetrów.

Strój mężczyzn składa się z *itipi*, t. j. z kawała czerwonawego płótna, w paski żółte lub czarniawe, którym oni sobie okręcają biodra i który im się zwiesza aż do kolan. Piersi. szerokie plecy i żylaste ramiona, jak również nogi poniżej kolan, nie wyłączając krótkiej a szerokiej stopy, są zawsze obnażone. Mają również zwyczaj malować sobie twarz w paski czerwone, a szyję, piersi i ramiona zdobić dziwacznemi czarnemi figurami. Nie dość na tem: noszą jeszcze naszyjniki, złożone z ciemnoczerwonych pestek *granatu*, lub innego jakiego owocu, przedziurawionych i nanizanych jak paciórki, albo też z małpich zębów, nawleczonych na sznurek; a do tych naszyjników również przyczepiają czasami ptaszki suszone, takie zwłaszcza, co mają puch barwny. Niektórzy noszą na głowie wieńce, uwite z piór ptasich, a zawsze najbardziej pstrych i jaskrawych. Jeżeli mają koszule albo kamizelki, zwłaszcza czerwone, to stroją się w nie bardzo chętnie i te stanowią ich ubiór odświętny.

Niewiasty noszą się o wiele przyzwoiciej od mężczyzn: mają zawsze na sobie coś w rodzaju tuniki, lub długiej koszuli, barwy tejsamej co *itipi* ich mężów, tylko wpadającej w odcień brunatny; tunika ta okrywa je od szyi aż do stóp, a przepasują ją na biodrach sznurkiem. Dziewczęta, choćby najmniejsze, nawet niemowlęta, noszone na ręku matek, noszą sukienki tego samego kroju, co i dorosłe: natomiast chłopcy aż do siedmiu i ośmiu lat chodzą zupełnie nago.

8. Chaty, sprzęty domowe i główne zatrudnienia Jivaros.

Chaty Indyan Jivaros, rozrzucone po lasach, są prawie wszystkie budowane w jednakowy sposób i jednakowy mają wygląd: są to obszerne szopy, o formie owalnej, z dachem śpiczastym, otoczone częstokołem, wysokim od trzech do czterech metrów, z dwojgiem wprost naprzeciw siebie urządzonych drzwi. Całość zabudowania przedstawia się tak harmonijnie i symetrycznie, że zdaleka wygląda takie indyjskie *tambo* na wcale zgrabnie i lekko zbudowany domek. Dach jest zeszyty z mocno powiązanych liści, a podtrzymują go zwykle krokwie bambusowe. Co się

tyczy obszaru, jaki zajmują te domostwa, to ta wynosi zazwyczaj od 12 do 25 metrów długości przy odpowiedniej szerokości. Wnętrze domu za pomocą wysokiej przegrody dzieli się na dwie części; z tych w jednej mieszczą się kobiety, w drugiej mężczyzni.

Jivaros w swych *tambos* niewiele posiadają sprzętów. Najważniejszym z nich jest łóżko. Podobne jest do rogóżki, bardzo twardej, uplecionej z trzciny a utwierdzonej mniej więcej na metr wysoko od ziemi, krótkiej zaś do tego stopnia, że leżącemu na niej nogi wystają i zwieszają się na dół; dlatego opierają je na drążku, umyślnie przytwierdzonym w nogach łóżka, pod którym tli się zawsze niewielki ogień celem utrzymania w stanie suchym nóg, o co dbają nadzwyczaj. Nie używają kołder, ni prześcieradeł, ani materaców, ni poduszek, — kładą się do snu ubrani, jak we dnie, podkładając ręce pod głowę, by nie spoczywała za nadto nisko.

Zaraz przy wstępie do chaty uderza w oczy wiszący na ścianie, lub palu, *tunduli*; jest to instrument, znany w całym Ecuadorze, służący do uderzenia na alarm; wisi dalej *tarcza*, z lekkiego drzewa, dla obrony w ręcznym boju; *oszczep*, nierozłączny towarzysz Jivara, ile razy wydala się z domu; *sajdak (bodoquera)* ze strzałami, niekiedy zatrutemi, do polowania na zwierzynę; wiszą wreszcie *wrzeciona*, na których przędzie bawełnę i *krosna*, co kobietom służą do tkania niezbędnego przyodziewku dla mężów, dla dzieci i dla siebie.

Zajęcia mężczyzn są następujące: stawiają sobie chaty, jeśli ich jeszcze nie mają; spuszczają i palą drzewa, celem zyskania potrzebnej przestrzeni na założenie ogrodu, przędą wreszcie tę trochę bawełny, jakiej potrzebują na utkanie szmata do przykrycia nagości. Do mężczyzn również należy starać się o utrzymanie rodziny i dostarczać jej żywności, a to łowiąc ryby i polując na zwierzynę. Uzbrojenie ich stanowi głównie oszczep; wielu jednakże posiada broń palną, której używają na polowaniu, a także (lecz rzadko) w wojnach.

Kobiety zwykle spędzają życie w swoim przedziale, mając staranie o dzieciach, o kuchni, zajmując się uprawą ogrodu, otaczającego *tambo* naokół, jak również wyrabiając tkaniny na odzież z bawełny, uprzędzonej przez mężów, przyrządzając *chicha* (wymawia się *czicia* = napój upajający) i t. p.

9. Barbarzyński zwyczaj. — Burzliwa noc. — *Taita Naranza.*

Jivaros nadzwyczaj są mściwi, a zaciekłość ta głównie przyprowadzała i przyprowadza ich jeszcze teraz do zguby. Wysoki i silny częstokół, otaczający chaty, z góry wskazuje, że szczep, zamieszkujący takie *tambos*, jest drapieżny i zawsze gotowy do bitki, tam bowiem, gdzie przebywa ludność spokojna, *tambo* stoi bez palisady na otwartem miejscu. Jivaros gualaquizcy, dzięki odrobinie zasad chrześcijańskich, jakie im jeszcze pozostały, jak również wskutek ciągłej styczności z białymi, można mówić, że już nieco spuścili z dawnej dzikości, a nawet że posiadają trochę ogłady. Natomiast pokolenia, wysunięte bardziej ku rzece *Marañon*, są nierównie dziksze i bardziej krwiożercze.

Nad nieprzyjaciółmi, których dostali w swoje ręce, mszczą się w sposób iście barbarzyński: oto napastwiwszy się nad nimi do woli, ucinają im głowę, wyjmują z niej wszystkie kości, bacząc, by skóra, ją pokrywająca, ile możności, pozostała cała, potem kładą ją do wody wrzącej, w której poprzednio sparzyli jakieś im tylko znane zioła, tak ugotowaną głowę stawiają wreszcie na małym, okrągłym, rozpalonym kamieniu; od gorąca wszystkie ścięgna i żyły kurczą się i objętość głowy przynajmniej o połowę się zmniejsza, tak iż tylko włosy i mniej więcej wyraz twarzy pozostaje nietknięty. Tego rodzaju mumia, doprowadzona do objętości dużej pomarańczy, nosi nazwę *shanza*, i bywa nieraz wystawiona na sprzedaż.

W Gualaquizie, jak się zdaje, barbarzyński ten zwyczaj pomiędzy Indyanami całkiem już ustał, a to wskutek surowych kar kościelnych i cywilnych, jakiemi zagrożono kupującym *shanze*; owszem, u tutajszych Jivaros uważa się za bezecnika takiego, któryby się ośmielił w wyż podany sposób preparować *shanze* w nadziei korzystnej ich sprzedaży. Lecz pomiędzy szczepami, nieco dalej osiadłymi, znajdują się jeszcze tyle okrutni dzicy, że np. wzamian za ladajaką starą strzelbę gotowi są mordować, kogo tylko dopadną ze swych nieprzyjaciół, zwłaszcza w odległych żyjących puszczach, i z ich głów wyrabiać *shanze*, które następnie wręczają barbarzyńskim handlarzom.

Wpierw jednakże odbywa się pewien obrzęd zabobonny, mający rzekomo na celu oczyszczenie mordercy z winy zabójstwa, a w rzeczywistości służący jako sposobność do urządzenia pijatyki i rozpusty wszelkiego rodzaju.

Do tego obrzędu, niby-to religijnego, przygotowują się dzicy już kilka miesięcy naprzód. Zabójca Indyanina lub Indyanki jest oczywiście główną figurą w tej ceremonii, on więc przedewszystkiem poddaje się przepisom i obowiązkom, jakie w podobnym razie zwyczaj i zabobon na niego wkładają.

Przygotowanie polega w pierwszej linii na ścisłym poście. J i v a r o-zabójca przez kilka miesięcy żyje jak jaki *wegetaryanin*, posilając się wyłącznie potrawami roślinnemi, a wstrzymując całkowicie od mięsa, tudzież od gorących trunków. Równocześnie jego współplemieńcy gromadzą zewsząd różne fatałaszki i pstrociny, celem przyozdobienia tego *tambo*, który na obchód *shanzy* upatrzono, a zwłaszcza przygotowują wielkie zapasy wieprzowiny, drobiu, szczególnie kur, a także indyków, dalej, mnóstwa ryb i różnego rodzaju krajowych owoców, jako to: *yuca*, *platana*, *cionta*, nie wspominając o długim rzędzie garnków i konwi, pełnych silnej, upajającej *chicha* (= wódki). Kiedy już przygotowane zapasy, zdaniem ich, wystarczą, by nasycić i upoić wszystkich J i v a r o s z sąsiedztwa, wtenczas sprasza się ich przez umyślnego posłańca, a na pierwszem miejscu tego, który ma sprawować urząd *wróżbity*.

W oznaczonym dniu ściągają się do *tambo* poszczącego mordercy mężczyzni i kobiety, przybrani odświętnie. Wróżbita, przystrojony w pióra i błyskotki, siada z wielką pompą na środku izby. Wtedy wchodzi zabójca, dzierząc w jednem ręku dzidę, którą popełnił morderstwo, w drugiej zaś trzymając *shanzę*. Wróżbita się podnosi, odbiera od niego uroczyście *shanzę*, zanurza ją najprzód w naczyniu, pełnem wody, w której przez dłuższy czas moczono liście *tytoniu*, potem w konwi, zawierającej *chichę* (= wódkę), a wreszcie obmywa ją w wodzie czystej. Następnie każe usiąść zabójcy, głowę zadrzeć do góry i otworzyć szeroko usta, w które leje, nieprzymierzając jak w beczkę, wodę oczyszczenia tąsamą koleją, jaką był dokonał obmycia *shanzy*, a więc najprzód wodę z odwarem liści tytoniowych, potem *chichę*, *) a w końcu wodę czystą, jest zaś tej mieszaniny płynów tyle, że napełniwszy zabójcy brzuch, zaczyna zeń woda wychodzić nozdrzami. Wypiwszy to wszystko, uważa się zabójca za oczyszczonego i wolnego od wszelkiej winy, jaką mógł na siebie ściągnąć z powodu popełnionego morderstwa.

W ten sposób oczyszczony wstaje z siedzenia, zawiesza *shanzę*, bądź na głównym słupie, na którym się opiera *tambo* (= chata), bądź w innem miejscu, przyozdabia ją kwiatami, barwnemi piórami z ptaków i przeróżnemi świecidełkami. Przez ten czas sproszeni goście otaczają *shanzę* w postawie, pełnej uszanowania, a wróżbita wygłasza mowę. Treść jej stanowi zawsze pochwała i hołd, złożony męstwu zabójcy, dzielnego J i v a r o, co tak dobrze umiał pomścić zniewagę, wyrządzoną jego plemieniu, a pełna szyderstw i przekleństw, rzucanych na szczep, do którego należał I n d y a n i n zamordowany. Słów wróżbity słuchają wszyscy z wielkiem namaszczeniem, a kiedy już mowę skończył, ustawiają się w długi rząd i idąc gęsiego, a wróżbitę mając na czele, wychodzą z *tambo* jednemi drzwiami, wchodzą zaś drugiemi, za każdym razem przyklękając przed *shanzą*. Odbywszy tak razy kilka tę procesyą, oświadcza nareszcie wieszczek, że obrzęd religijny się skończył. Na to hasło zaczyna się pijatyka, połączona z niesłychanem obżarstwem, rozlegają się dzikie okrzyki i śpiewy, potem następują tańce. Rozpusta trwa tak długo, póki starczą przygotowane zapasy, czasami blisko tydzień, rzadko kiedy zaś kończy się bez jakowych smutnych dla większej części biesiadników następstw.

Za naszego pobytu w G u a l a q u i z a zdarzyło się nam widzieć raz jednę taką *shanzę* w domu *taita Naranza* (= ojca Naranzy); ta jednakże nie była jego własnością, lecz innego I n d y a n i n a z okolic M e n d e z, jak to zaraz opowiem.

Ten *taita Naranza* uchodzi za najstarszego wiekiem ze wszystkich J i v a r o s gualaquizkich; pomimo to starowina jest jeszcze krzepki i czerstwy. Ponieważ zamiarem naszym było odwiedzić z kolei wszystkich J i v a r o s gualaquizkich we własnych ich *tambos*, zatem rozpoczęliśmy wizyty od jego domu, położonego na drugim brzegu *Bomboizy*. W wycieczce tej towarzyszyło nam dwóch misyonarzy F r a n c i s z k a n ó w, którzy posłyszawszy o naszem przybyciu do G u a l a q u i z y, urządzili nam miłą niespodziankę i z Z a m o r y przybyli aż tu, by nas powitać. Nie mogliśmy dostać się jeszcze tego samego dnia do mieszkania starego NARANZY, bo *Bomboiza* wezbrała tak, że było niepodobieństwem przez nią się przeprawić. Chcąc nie chcąc trzeba więc było zanocować w puszczy. Skleciliśmy zatem na prędce z gałęzi i z wielkich liści coś, co wyglądało na szałas, dla ochrony przed deszczem, rozniecilismy ogień, aby wysuszyć na wskroś przemokłe ubrania i upiec na węglach kilka kawałków *yuca*, które udało się nam znaleźć w jakimś przydrożnym, całkiem opuszczonym ogrodzie, te zaś razem z kilku *sardynkami*, które mieli w zapasie poczciwi OO. F r a n c i s z k a n i e, złożyły się na wyśmienitą kolacyę. Byliśmy wszyscy bardzo zmęczeni, zatem odmówiwszy modlitwy, ułożyliśmy się, jak się dało, do snu na mokrej trawie pod improwizowanym dachem.

Wyznaję szczerze, że wiele mnie kosztowało wysiłków wyzucie się całkowite z obaw, jakie

*) Wymawia się *cziczię*.

mimowoli ciągle mi się nasuwały pod wpływem głuchego milczenia i ciemności, zalegających puszczę. Przywodziłem sobie ustawicznie na pamięć jedno za drugiem opowiadanie o okrucieństwach J i v a r o s, których robotników p. VEGA, a jeden z naszych przewodników opowiadał nam niedawno, że owe puszcze obfitują w jadowite gadziny....... Takie rozigranie myśli rozpalało mi coraz bardziej mózg, spędzało sen z powiek, a już



Wypiwszy to wszystko, uważa się zabójca za oczyszczonego i wolnego od winy...
(*str.* 123).

tyle się dotąd nasłuchałem; wyobraźnia, podniecona ciszą nocną, czyniła je tem straszniejszemi i kazała przypuszczać, że mogłyby się wydarzyć — i to na nas — jeszcze dzisiejszej nocy. Niedaleko od naszego szałasu właśnie zaszła owa głośna na cały E c u a d o r rzeź całkiem odejmowało wypoczynek strudzonym moim członkom. Nakoniec jednak znużenie przemogło, a ja także za drugimi zapadłem w sen głęboki, sen ciężki i niespokojny. Naraz gęsta ulewa spadła na licho skleconą budkę i nie dała nam odtąd spokoju przez

resztę nocy; o świcie znowu straszliwy łoskot sprawił, że wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi, patrząc po sobie z przestrachem: to jakieś drzewo upadło o kilka kroków od naszego schroniska. By uniknąć wszelkich niemogliśmy się jakoś zdobyć na tyle odwagi, by wstąpić do słabej łódki i na jej deskach puścić się na rozszalałe fale rzeki. Wreszcie ja pierwszy przełamałem bojaźń i, poleciwszy się swemu Aniołowi Stróżowi, wskoczyłem do



Na to hasło zaczyna się pijatyka...., potem następują tańce.
(*str.* 123).

pokojów, postanowiliśmy ruszyć natychmiast w dalszą drogę, a przedewszystkiem dostać się do *Bomboizy*.

Po długiem oczekiwaniu i chodzeniu tam i sam nad pustym jej brzegiem, zjawiło się dwóch rosłych Indyan w małem i wąskiem czołnie, ażeby nas przewieźć na drugą stronę. Nastała chwila wahania; ilu nas było, nie

czołna. Zanim odbili od brzegu, obaj Jivaros zagadnęli mnie wpierw, czy umiem pływać. Pytanie to, co prawda, nie bardzo było zachęcające, ani dodające otuchy. Odpowiedziałem, że nie umiem, ale że o to mniejsza, poczem dałem znak, by zepchnęli łódź na wodę. Nie potrzeba było drugi raz powtarzać rozkazu: przewoźnicy ujęli natychmiast za

wiosła i z zadziwiającą zwinnością, w mgnieniu oka, przeprawili mnie na drugi brzeg. To samo zrobili następnie z resztą towarzystwa, a tak mogliśmy teraz już bez przeszkód puścić się w drogę ku domostwu *taity Naranzy*.

Mieszkanie starego J i v a r o było chędogie, bardzo zgrabnie, a nawet z pewną elegancyą zbudowane we wszystkich swoich składowych częściach. Prócz sprzętów, wyżej wymienionych, które zwykły zdobić ściany i jakie się napotyka we wszystkich *tambos* J i v a r o s'ów gualaquizkich, znaleźliśmy tu nadto coś osobliwszego, a mianowicie wiszącą na słupie *shanzę* jakiegoś zamordowanego I n d y a n i n a. Sam widok tej mumii przejął mnie zgrozą, zaczem bez ogródki zapytałem wprost starego *taity*, czyja to głowa i co ona tu porabia. *Taita Naranza*, urażony tem mojem pytaniem, odpowiedział mi prawie z gniewem, że to nie jego, tylko pewnego I n d y a n i n a z okolic M e n d e z, mieszkającego jednakże w jego domu. Za chwilę zjawił się właściciel *shanzy* we własnej osobie, a zapytany o pochodzenie głowy, odparł z dumą:

—„*Esta shanza mía siendo; Jivaro Pongo matando á mi hermano, yo matando él, cortando cabeza, haciendo shanza*,“ — które to słowa, przetłómaczone dosłownie, znaczą: *ta shanza będąc moją; Jivaro Pongo zabijając mego brata, ja zabijając jego, ucinając mu głowę i robiąc shanzę.*

Do tego stopnia dochodzi dzikość i okrucieństwo ludzi, nie znających zasad prawdziwej Wiary!

Podejmowani gościnnie przez *taitę Naranzę*, pod wieczór zaczęliśmy się z nim żegnać, by puścić się z powrotem do G u a l a q u i z y. Ale stary J i v a r o sprzeciwiał się temu zamiarowi stanowczo, podając za powód, że wody w rzece nie opadły i że przeprawiać się przez nią w takim czasie byłoby narażać się dobrowolnie na oczywiste niebezpieczeństwo utonięcia w jej nurtach; widząc jednakże nasze niezłomne postanowienie, dał nam, lubo z widoczną niechęcią, dwóch przewoźników, którzy z właściwą sobie zręcznością przewieźli nas w lot na brzeg przeciwległy. Przybyliśmy do G u a l a q u i z y, gdy już mrok zapadał.

W następnych dniach zwiedziliśmy wszystkie inne *tambos* J i v a r o s'ów w okolicy G u a l a q u i z y, ja zaś oprócz tego dotarłem aż do miejsca, gdzie *Bomboiza* łączy się z *Zamorą*, głównie w celu wywiedzenia się na miejscu, czy ta ostatnia rzeka jest spławną i czy można z jej biegiem płynąć, choćby tylko w zwykłych indyjskich czołnach, aż do terytoryum gualaquizkiego.

10. Ciemnota i zabobon.

W tym samym czasie mogliśmy aż nazbyt dokładnie przekonać się, co za ciemnota i zabobon panuje jeszcze pomiędzy tymi dzikimi szczepami.

Zachoruje kto? Jego krewni wraz przyzywają znachora, zowiącego się w ich narzeczu *brujo*, t. j. *czarownik*. Jeżeli znachor uważa, że chory wyzdrowieje, to rozpoczyna około niego swoje zabiegi (które jednakowoż zawsze praktykuje w nocy), i to w następujący sposób: najpierw poczyna śpiewać dziwne jakieś pieśni i tańczy (*solo*) całemi nocami; następnie zbliża się do chorego i kładzie mu zręcznie na chorą część ciała małego robaczka, którego zaraz potem niby to wydostaje z pod skóry, pokazując go z tryumfem wszystkim obecnym i zapewniając, że to jakiś nieprzyjaciel musiał choremu to oto licho zadać. Wtedy krewni do spółki z chorym zaczynają sobie łamać głowę, by dociec, który to wróg śmiał być na tyle zuchwałym, by czegoś podobnego się dopuścić. Z takich dociekań i przypuszczeń powstaje potem zawzięta nienawiść i pragnienie zemsty, nie mające końca.

Ale też zato, jeżeli mimo wszędobec obwieszczonego wyzdrowienia i ukazania na dowód robaka, chory wyzionie ducha, to wszystek gniew pada wtedy na znachora, który nieraz życiem przypłaca swoje oszustwo i nieudane kłamstwo.

Umiera kto? To poszło jedynie stąd, ponieważ ktoś nieboszczyka *ha brujeado*, t. j. *zadał mu*, czyli rzucił nań czar. Są tak święcie o tem przekonani, że na nicby się zdały wszelkie przedstawienia i dowody, jakie by się wbrew takiemu mniemaniu przytoczyło. Stąd również rosną podejrzenia, waśni, a niekiedy i długoletnie wojny pomiędzy jednym szczepem a drugim.

Gdy umrze ktoś dorosły, to grzebią go w tym samym *tambo*, w którym ducha wyzionął; a ci, co go przeżyli, więcej ze strachu, jakim ich przejmuje śmierć, niźli z uczucia czci, przynależnej zmarłym, natychmiast po pogrzebie opuszczają ten dom i budują sobie inny, o ile można, jak najdalej od nieboszczyka. Wielu ma zwyczaj kłaść na grób pewną ilość potraw i napitków, niezawodnie w tem przeświadczeniu, że to może się nieboszczykowi na co przydać.

Te i wiele innych podobnych zabobonów, jak się zdaje, są pozostałością pogaństwa, od wieków tu panoszącego się, którego mimo nadludzkich wysiłków, niewielu co prawda, misyonarzy, co tu przed nami pracowali, nie udało się jeszcze doszczętnie wykorzenić.

11. Religia i uobyczajenie.

J i v a r o s gualaquizcy, już dorośli, są prawie wszyscy chrześcijanami, niestety, jak dotąd tylko z nazwy. Dwadzieścia kilka lat temu pewien gorliwy misyonarz, przewidując, że niezadługo przyjdzie mu opuścić G u a l a q u i z ę, a nie mając nadziei więcej tam powrócić, zmuszony okolicznościami, postanowił nauczyć jak najwięcej I n d y a n, o ile się to dało w stosunkowo krótkim przeciągu czasu, głównych prawd Wiary i udzielić im ryczałtem Chrztu św. Istotnie wkrótce potem był zmuszonym opuścić te strony, to też biedni J i v a r o s, pozostawieni samym sobie przez lat tyle, obecnie zaledwie przypominają sobie nazwę chrześcijan, jaką na mocy otrzymanego Chrztu św. noszą. Nikt z nich teraz nie umie nawet zrobić znaku krzyża św. Cały ich katechizm da się sprowadzić do następujących dwóch prawd wiary: 1) istnieje Bóg Ojciec — *Taita Dios,* — który mieszka w niebiesiech; 2) dobrzy J i v a r o s po śmierci pójdą do *Taity Dios*, a źli do *Iguanchi* (= złego ducha, czyli szatana).

To swoje krótkie wyznanie Wiary w dziwaczny niekiedy objawiają sposób.

Pewnego wieczora przyszedł nas między innymi odwiedzić stary J i v a r o, imieniem CHACAIMA. Ponieważ pora była słotna i już mrok zapadał, nie pozwoliliśmy mu wracać do domu, nalegając, by został z nami. Długo robił trudności, ale ostatecznie zgodził się przenocować w jednej izbie wespół z nami. Przed udaniem się jednak na spoczynek wyszedł z izby i na korytarzu począł najprzód mocno dmuchać, a potem mruczeć półgłosem jakieś niezrozumiałe wyrazy. Co zauważywszy, zapytał go X. SPINELLI, coby znaczyły owe dmuchanie i pomruki. Stary odpowiedział mu:

—„*Chacaima soplando, lejos mandando muerte é iguanchi; rezando Taita Dios, por que muerte é iguanchi lejos mandando* — co znaczy: Chacaima dmucha, by odpędzić śmierć i szatana; a potem modli się do Boga Ojca, aby oddalił śmierć i szatana.

Innego wieczora zanocował u nas jeden z wróżbitów, czyli t. z. *brujo,* z okolic M e n d e z. Także on przed pójściem na spoczynek zachowywał się, jak stary CHACAIMA: dmuchał i odmawiał przez dłuższy czas modlitwy. Zapytany, czemu tak czynił, dał następującą odpowiedź:

—„*Buenos Jivaros, todos, antes dormiendo, rezando* (= wszyscy dobrzy J i v a r o s przed udaniem się na spoczynek, modlą się).

Różnicy między dobrem a złem, godziwem a niegodziwem, lubo przeważnie otrzymali już Chrzest św., nie zwykli oczywiście mierzyć naszą miarą. Ogółem wziąwszy (przynajmniej, o ile mieliśmy sposobność zauważyć w G u a l a q u i z a), uważają za rzecz niegodziwą jedynie *zabójstwo, kradzież* i *kłamstwo*; ale jeśli zachodzi choćby najlżejszy powód do dopuszczenia się zbrodni, to zabójstwo staje się dla nich rzeczą świętą: zemsta za wszelką poniesioną krzywdę i doznaną zniewagę jest dla nich obowiązkiem.

Niektórzy J i v a r o s żyją w wielożeństwie, uważając to za rzecz godziwą, reszta zaś zgoła się tem nie gorszy.

Obchodzą kilka świąt z obrzędami, trwającymi niekiedy przez kilka dni; ale te ich uroczystości są czemś nierównie gorszem od rozpusty, jaka się nieraz praktykuje u nas w czasie karnawału. Nie składają żadnych ofiar i właściwie nie mają żadnej takiej rzeczy, którąby można nazwać *bałwanem,* albo *bożyszczem*; klękają tylko przed *shanzą*, a to w czasie uroczystości, na jej cześć urządzonej, i w dzień rocznicy popełnionego zabójstwa.

J i v a r o s gualaquizcy byli wiele razy dziesiątkowani w ostatnich czasach, bądź ginąc na wojnach z sąsiednimi szczepami, bądź też od chorób zaraźliwych, jako to *ospy* i *odry,* zawleczonych w te góry przez białych. Pomimo to liczba ich dochodzi tutaj do pięciuset. W M e n d e z, jak nas zapewniano, powinno ich być kilka tysięcy, prócz tego liczne szczepy mają zamieszkiwać okolice rzek *Pongo, Paute* niższej i na prawym brzegu *Morony.* Wiadomą jest rzeczą, że dzicy wybierają zawsze miejsca samotne, ile możności w pobliżu rzek, gdzie nikt nie może ich widzieć, ani słyszeć, a więc także nie przeszkadzać im w rozpustnych obrzędach i uroczystościach. Łatwo zatem być może, iż są liczniejsi, aniżeli ogólnie się przypuszcza.

Ukończywszy tak naszą wycieczkę mającą na celu rozpoznać, choćby tylko pobieżnie, przyszłe nasze pole do działania, zaczęliśmy myśleć o powrocie. Jakem to już nadmienił na początku niniejszego listu, trzech J i v a r o s ofiarowało się towarzyszyć nam aż do C u e n c a, gdzie wszyscy zdumieli, widząc że śmieliśmy powierzyć swoją osobę dzikim, uważanym powszechnie za krwiożerczych i w najwyższym stopniu zdradzieckich. Ci trzej J i v a r o s gościli całe cztery dni w naszym domu w C u e n c a, niezmiernie zadowoleni ze sposobu obejścia się naszego z nimi, a także z naszymi chłopcami; następnie wszakże, nie mogąc dłużej znieść klimatu C u e n k i, który dla nich jest za ostry, wrócili do swoich stron, dokąd wkrótce pójdziemy ich odwiedzić.

W Gualaquiza przekonaliśmy się, że temperatura najwyższa waha się pomiędzy 23ma a 27ma stopniami *Celsiusza*, najniższa zaś między 17ma a 20ma. Sama osada leży w wysokości 730 metrów nad powierzchnią morza. W ciągu miesiąca, któryśmy tam spędzili, było 26 dni mniej lub więcej słotnych, jakkolwiek pora była letnia. W klimacie tak wilgotnym a gorącym, nie dziw, że ziemia jest nadzwyczaj żyzn.; jakoż Gualaquiza tak dalece obfituje w produkta roślinne, że niepodobna chyba wymagać więcej. Cała trudność w tem, że brak tam rąk do uprawy, a raczej do oczyszczenia ziemi z chwastów i wyrosłych roślin.

12. Potrzeba założenia tu *stacyi misyjnej*.

Podczas krótkiego pobytu w Gualaquiza mogliśmy aż nadto się przekonać, że chcąc z pożytkiem prowadzić dalej tak szczęśliwie rozpoczętą misyę, potrzebujemy pomocy, i duchownej i doczesnej.

Przedewszystkiem potrzeba nam bardzo *Opieki i Pomocy Pana Boga*. Bez niej nie będziemy mogli niczego zdziałać, gdyż zbyt wiele nasuwa się trudności do zwalczenia i nazbyt wielkie grożą nam zewsząd niebezpieczeństwa. A więc gorąco polecamy się modlitwom naszych przezacnych Przełożonych, jak również drogich współbraci, dziatwy i młodzieży, wychowującej się w zakładach salezyańskich, i czcigodnych Pomocników i Pomocnic Zgromadzenia salezyańskiego. Podczas gdy my będziemy przebiegali wzdłuż i wszerz owe dzikie i zapadłe ustronia, niech z każdego zakątka ziemi, gdzie tylko znajdują się Salezyanie, zakonnicy i Pomocnicy, — niech, mówię, wznoszą się gorące modły przed tron Najwyższego, by raczył pobłogosławić i pomyślnym uwieńczyć skutkiem tę naszą, lichą w samej sobie, pracę.

Potrzeba nam dalej *dostatecznego i dobranego personalu*. Jedynym środkiem, który niechybnie doprowadzi do nawrócenia i ucywilizowania dzikich a okrutnych Jivaros, jednogłośnem zdaniem tych, co nawskroś znają ich naturę, jest zakładanie w miejscowościach, gęściej przez nich zaludnionych, domów ze szkołami i warsztatami dla rzemieślników, ażeby w ten sposób przyzwyczaić do pracy i wykształcić chłopców, takich przynajmniej z nich, którzy okażą się więcej pojętnymi.

Jivaros, tak starzy, jak młodzi, nadzwyczaj miłują swobodę; znaczną — żeby nie powiedzieć: większą — część dnia spędzają, brodząc po rzekach, lub szukając przygód w kniejach: otoż my, licząc się z tem ich usposobieniem, czy zamiłowaniem, nie będziemy ich bynajmniej zamykać, czy to w szkole, czy we warsztacie, niby ptaki w klatce, ani zaraz z początku przynaglać do pracy. Wiemy bowiem doskonale, że gdy nawałęsają się dowoli nad rzeką i w lesie, wtedy okazują się powolnymi i można ich do wszystkiego użyć. Otoż my skorzystamy właśnie z takich chwil, by mieć z nimi jaką godzinę szkoły, lub zajęcia praktycznego, i wpajać w nich, ile się da, zasady chrześcijańskie.

Przedewszystkiem trzebaby *założyć* dla nich *dom* w Gualaquiza, gdzie znajduje się również wielu chrześcijan, nie mniej od Jivaros potrzebujących opieki duchownej misyonarza; następnie w Mendez, dalej w okolicach *Pongo*, a może nawet w okolicach dolnego biegu *Paute*. Lecz o tych dwóch ostatnich miejscach nie umiem dotychczas powiedzieć nic stanowczego, gdyż ówczesny dyrektor domu salezyańskiego w Quito, X. Alojzy Calcagno, obawiając się jakiej napaści ze strony dzikich, zabronił nam zapuszczać się w tamte strony, a wogóle nie przekraczać granic Gualaquizy.

Nowozałożone zaś te domy trzeba będzie *zaopatrzyć* przynajmniej *we wszystkie* takie *sprzęty i przybory*, jakie są niezbędne, nawet w najuboższej kapliczce, dalej: *w narzędzia*, potrzebne w kuźniach i stolarniach, nie zapominając o ubiorach, różnych świecidełkach i t. p. drobnostkach, za jakiemi Jivaros przepadają. Dzicy są bowiem wielkimi samolubami i istotami nieużytemi; ująć ich i utrzymać przy sobie można jedynie za pomocą takich oto podarków. Są np. nadzwyczaj łakomi na koszule barwy czerwonej, lub niebieskiej, na kamizelki, chusteczki do nosa i t. p. tejsamej barwy. Koszule powinnyby być uszyte z płótna mocnego, ale zastosowanego do tutajszego klimatu, a więc dość cienkiego i lekkiego; z tych jedna część powinna być bez rękawów, lub, co najwyżej, z rękawami, długimi na 10 centym. dla dzieci, druga część znowu z rękawami długimi, dla dorosłych, a wszystkie długie, żeby aż sięgały kolan.

Jivaros lubują się również wielce w toporach, siekierach, strzelbach, oszczepach, nożach, nożycach, igłach, zwierciadłach i t. p. drobnostkach i błyskotkach. Rozdając takie właśnie przedmioty pomiędzy nich, zdołamy ich łatwo nakłonić, by pozwolili dzieciom uczęszczać do naszych zakładów, jak również, by przychodzili sami posłuchać naszych nauk, a następnie wprowadzić w życie i zastosować, czego się od nas dowiedzieli.

Misyonarz O. Magalli opowiada o jednym z naszych poprzedników, misyonarzu Domi-

nikaninie, że natrafiwszy razu pewnego na szczep Jivaros, zjednał ich sobie tego rodzaju podarkami tak, że bardzo chętnie przychodzili słuchać jego nauk. Pewnego dnia, gdy już mu zabrakło podarunków, bo je wszystkie przedtem był rozdał, pytali go Jivaros z pewnem naleganiem:

—„Ojcze! nie masz to nic więcej nam do dania?“

—„Nie,“ odrzekł poczciwy misyonarz, wzdychając głęboko. „Wszystko, com miał, tom wam już rozdał.“

—„To widać jesteś bardzo ubogim,“ rzekli wtedy Jivaros, „a w takim razie idź sobie z Panem Bogiem. My nie chcemy Ojca ubogiego, jeno bogatego, zatem najlepiej zrobisz, jeżeli się czem prędzej od nas wyniesiesz.“

To rzekłszy, rozbiegli się po chatach i już nigdy więcej nie przyszli posłuchać jego słów, ni nauk, o prawdach Wiary i życiu wiecznem.

Szczepy, nad którymi mamy roztoczyć opiekę duchowną, są to Jivaros, niczem zgoła nie różniący się od owego szczepu, któremu był zamierzył słowo Boże głosić czcigodny O. Dominikanin; trzeba więc będzie założyć kilka stacyi misyjnych naraz i postarać się, by zawsze były dostatecznie zaopatrzone, w co potrzeba. W ten sposób, powoli, jednając sobie dorosłych, oraz kształcąc i wychowując młodszych, uda się zczasem włożyć ich do życia chrześcijańskiego i ucywilizowanego.

A więc niech już raz przybędzie do nas tak dawno i gorąco oczekiwany Wikaryusz Apostolski, prowadząc ze sobą pokaźny hufiec kapłanów, kleryków, katechetów, i majstrów, jak również wioząc spory zapas podarunków i przedmiotów, o jakich cotylko było się mówiło. Droga, wiodąca na to pole pracy, jest już utorowaną, a nawet (rzec można) pierwsza *stacya misyjna* jest już założoną. Przyobiecaliśmy powrócić do Gualaquizy na święta Bożego Narodzenia i postaramy się słowa dotrzymać, chętnie bowiem chcemy — o ile to w naszych siłach leży — zadość uczynić życzeniom tamtejszych chrześcijan i Jivaros.

Miałbym jeszcze niejedno do pisania o trudnościach i potrzebach tej misyi, ale jak na jeden list, rozpisałem się i tak już zanadto. Polecam więc raz jeszcze modlitwom Salezyanów i wszystkich naszych przezacnych Pomocników i dobrodziejów niniejszą misyę, a Przewielebnego i najdroższego Ojca prosząc o błogosławieństwo,

kreślę się Jego

najprzywiązańszym synem w Chrystusie Panu

Jacek Pancheri.

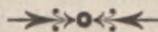


PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział XIV.

Regulamin, ułożony dla Oratoryum. — Młodzi *porucznicy*. — *Towarzystwo św. Alojzego*. — Jego ustawy. — Sześć niedziel na cześć św. Alojzego. — Wiadomość o bliskich odwiedzinach X. Arcybiskupa Fransoni'ego. — Przygotowania.

Zaledwie się osiedlił na Valdocco, pierwszą myślą X. Bosko było: wprowadzić większy ład w dość luźne żywioły, uczęszczające do *kaplicy świątecznej*, wlać w nie jednego ducha, ująć je w karby i nadać im jeden wspólny kierunek. Tym końcem, urządziwszy już, jak się należy, *szkółki wieczorne* i *świąteczne* (o czem była mowa powyżej), zajął się w początkach r. 1847 ułożeniem *regulaminu* dla Oratoryum i ukończył go w przeciągu kilku tygodni. W nim zestawił to wszystko, co zwyczaj i dotychczasowy sposób postępowania niejako w Oratoryum uświęciły; wyszczególnił praktyki religijne, a wogóle sposób nabożeństwa, odbywającego się w *kaplicy*; zebrał przepisy, tyczące zachowania się w czasie rekreacyi i w szkole: słowem, każde zajęcie, wszelki urząd i obowiązek znalazł tamże osobny dla siebie rozdział. *Regulamin* ten, w czasach późniejszych, stosownie do nowych potrzeb, uzupełniony i przejrzany, ogłoszono drukiem.

Dzieli się na trzy części. Pierwsza mówi o celu, jaki sobie wogóle stawiły *kaplice świąteczne*, o rozmaitych w niej zajęciach, obowiązkach i t. d., przyczem podaje odnoszące się do tychże przepisy.

Część druga zawiera zestawienie praktyk religijnych, jakie chłopcy mają wykonywać, tudzież podaje sposób zachowywania się w kościele i na dziedzińcu.

Trzecia wreszcie zajmuje się *szkółkami wieczornemi* i *świątecznemi* i daje zarazem tyczące się ich ogólne uwagi praktycznej natury.

Zaraz od samego początku odniosło się

kilku XX. Biskupów i plebanów, skoro ich doszła wieść o niniejszym *regulaminie* z prośbą do X. Bosko, by im go udzielił, pragnęli bowiem mocno zaprowadzić i urządzić w swych dyecezyach i parafiach — o ile to było możliwem — *kaplice świąteczne* wedle modły naszej.

Zaznaczywszy tak główniejsze zajęcia i urzędy wraz z wypływającymi z nichże obowiązkami, powierzył je X. Bosko tym chłopcom, których nienaganne sprawowanie się i wrodzona roztropność dawały mu rękojmię, iż będą najodpowiedniejszymi i do ich noszenia i wykonywania. Zrobił ich więc swymi pomocnikami, wykonawcami swoich wskazówek, mianował ich, że tak powiem, swymi *porucznikami*. Ponieważ każdy z nich osobiście był odpowiedzialny za urząd, sobie nadany, a X. Bosko ograniczał się na dozorowaniu, aby wszyscy należycie go spełniali, przeto każdy *porucznik* starał się usilnie, by włożony na siebie obowiązek w całej jego rozciągłości dokładnie pojąć i jak najlepiej powinność swoją spełnić. Dzięki temu urządzeniu poczęły sprawy O r a t o r y u m iść w coraz lepszym porządku, z niemałym dla młodzieży pożytkiem, a zarazem wielką ulgą dla X. dyrektora, który odtąd zwykł był młodych *poruczników* co tydzień zwoływać do siebie i, jak przystało na doświadczonego wodza, gorącem słowem zachęcać ich do wytrwania w pracy, dając im rady i wskazówki, jak sobie mieli z młodzieżą poczynać, na co przedewszystkiem kłaść nacisk i dawać baczność, a czego unikać, żeby ich praca pomyślny zawsze odnosiła skutek. Czasami dawał im maleńką nagrodę we formie czy to obrazka, czy książeczki i t. p., a zawsze konferencye kończył, wskazując im koronę chwały, jaka ich czekała w niebie.

Takie słowa zachęty i jawne dowody zaufania były najskuteczniejszym bodźcem dla młodzieży, by jak najlepiej wywiązywać się ze zadania, a już to nadzwyczajnym było wypadkiem, jeżeli którego z nich bądź dla opieszałości w wypełnianiu obowiązków, bądź nieodpowiedniego postępowania i prowadzenia się, trzeba było złożyć z urzędu i odjąć mu stopień.

Założywszy w taki sposób podwaliny, na jakich miała się opierać i rozwijać jedność administracyi, należało również rozbudzić w młodzieży ducha pobożności, a to za pomocą jakiejś stałej i jednolitej praktyki religijnej. Wtedy to w głowie X. Bosko powstała myśl, by założyć *Towarzystwo św. Alojzego Gonzagi,* w celu zachęcenia chłopców do pielęgnowania w sobie i pełnienia tych cnót, które najwięcej jaśniały w świętym Młodzianiaszku, a w ten sposób wdrożyć ich do życia obyczajnego i bogobojnego. Tym końcem zestawił niewiele wprawdzie, ale zato jędrnych i treściwych reguł, jakie do osiągnięcia celu, który sobie zamierzył, wydawały mu się najodpowiedniejsze. Następnie przedłożył je do zatwierdzenia X. Arcybiskupowi, który rozstrząsnąwszy je sam i poleciwszy je zbadać także innym, ostatecznie zatwierdził Ustawy *Towarzystwa* dnia 11^go kwietnia 1847 r.

Osnowa ich jest następująca:

1. *Jak* **św. Alojzy** *był wzorem wszelkich cnót i wszędzie i na każdem miejscu dobrym przyświecał przykładem, podobnież wszyscy, co pragną zapisać się do niniejszego* **Towarzystwa,** *biorą na siebie przedewszystkiem obowiązek, wystrzegania się wszystkiego, coby innych mogło gorszyć; natomiast będą się starać o dawanie we wszystkiem i przy każdej sposobności dobrego przykładu, zwłaszcza w tem, co dotyczy dokładnego wypełniania obowiązków dobrego chrześcijanina.* **Św. Alojzy** *już od dziecka był tak ścisłym w dopełnianiu swych obowiązków, tak zamiłowany w modlitwie i tak skupiony w sobie, że gdy udawał się do kościoła, szła za nim rzesza ludu, by się budować jego skromnością i nabożeństwem.*

2. *Co dwa tygodnie, a nawet częściej (zwłaszcza w większe święta), każdy z członków przystąpi do Sakramentów* S p o w i e d z i *i* K o m u n i i *św. Jestto oręż, za pomocą którego odnosi się walne zwycięstwo nad nieprzyjacielem duszy.* **Św. Alojzy** *jeszcze w chłopięcym wieku przystępował do tych Sakramentów św. co tydzień, a jako młodzieniec jeszcze częściej. Jeżeliby który z członków dla jakiego ważnego powodu nie mógł tego warunku dopełnić, to za radą i zezwoleniem X. dyrektora* **Towarzystwa** *będzie go mógł zmienić na jaki inny dobry uczynek. Wzywa się dalej członków usilnie, by do Sakramentów św. i na nabożeństwo uczęszczali do* w ł a s n e j *kaplicy, a to dla tem większego zbudowania towarzyszy.*

3. *Członkowie* **Towarzystwa** *będą unikać jak zarazy złych towarzyszy i wystrzegać się pilnie rozmów nieprzyzwoitych.* **Św. Alojzy** *nietylko że nie prowadził nigdy mów podobnego rodzaju, lecz odznaczał się taką skromnością, że nikt nie śmiał nawet wymówić słowa nieskromnego w jego obecności.*

4. *Będą się obchodzić z nadzwyczajną miłością z towarzyszami, chętnie przebaczając doznano urazy. Wystarczało wyrządzić* **św. Alojzemu** *jaką krzywdę, by zjednać sobie od razu jego przyjaźń.*

5. *Będą mieć pilne staranie o porządek, jaki powinien zawsze panować w domu Bożym, zachęcając innych do życia cnotliwego i do zapisania się do* **Towarzystwa. Św. Alojzy** *z mi-*

łości bliźniego ofiarował się na usługi zarażonym powietrzem, i to było przyczyną jego śmierci.

6. *Będą się przykładać pilnie do pracy i ścisłego pełnienia obowiązków, słuchając we wszystkiem rodziców i innych zwierzchników.*

7. *W razie choroby którego z członków, wszyscy inni nieomieszkają modlić się za nim i w miarę sił i możności wspierać go w rzeczach doczesnych.*

Wieść o mającem się założyć *Towarzystwie* wzbudziła niesłychany zapał między młodzieżą, uczęszczającą do Oratoryum, i nie było ani jednego, któryby nie zapragnął do onegoż się zapisać. Lecz ażeby później nie potrzebować utyskiwać z Prorokiem: *Multiplicasti gentem et non magnificasti laetitiam* — *Rozmnożyłeś naród, a nie uczyniłeś wielkiego wesela* (Izajasz IX, 3), a także, żeby wszystkich i każdego z osobna tem więcej pobudzić do pozbycia się wad i niedoskonałości, postawił X. Bosko każdemu zgłaszającemu się do *Towarzystwa* kandydatowi dwa warunki do spełnienia.

Po pierwsze, musiał każdy wpierw odbyć czas próby i dać jawne dowody przykładnego sprawowania się, czyto w kościele, czy na innem miejscu. Po drugie, powinien był całem swojem zachowaniem się udowodnić, że rzeczywiście unika rozmów bezwstydnych, a zwłaszcza obowiązany był uczęszczać pilnie do św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza.

Przyjmowanie takie, zawisłe od dopełnionych warunków, przyczyniło się znakomicie do tem lepszego utwierdzenia młodzieży w zamiłowaniu dobrych obyczajów, jak również do podniesienia ducha pobożności. Nowozgłaszających się członków zaczęto po raz pierwszy zapisywać w pewną niedzielę majową, która była zarazem pierwszą ze *sześciu niedziel*, poprzedzających uroczystość św. Alojzego.

Ażeby się należycie przygotować do tej uroczystości, obchodzili chłopcy wszystkie sześć niedziel ze szczególnem nabożeństwem: w każdą z nich znaczna ich liczba przystępowała do Sakramentów św., pragnąc pozyskać odpust zupełny, nadany przez Ojca św., Klemensa XII. Uczestnicy Oratoryum z owych czasów wspominają jeszcze teraz, jak X. Bosko, pragnąc ułatwić wszystkim chłopcom uczęszczanie do Sakramentów św., pozwolił im przychodzić do swego mieszkania o każdej godzinie we dnie i wieczorem. Pamiętają również, że co sobotę musiał spowiadać nieraz aż do późnej nocy, czasami jeszcze po 11ej, w niedzielę zaś od godziny 4ej rano aż do Mszy św., to znaczy: aż do 9ej, lub 10ej.

W tem wszystkiem były mianowicie dwie rzeczy godne podziwu: z jednej strony pobożność i wytrwałość chłopców, z drugiej zaś niczem nie znużona gorliwość X. Bosko, który dla pozyskania Bogu dusz ludzkich siedział jakby przykuty w konfesyonale po dziesięć i dwanaście godzin z rzędu, wyjąwszy krótki spoczynek po północy. Kilka razy nawet zdarzyło mu się spowiadać od wieczora aż do samego rana, tak, że pierwsi, którzy rychło rano przychodzili do spowiedzi, zastawali przy konfesyonale ostatnich, co tam byli przyszli jeszcze wczoraj wieczorem. W taki sposób, zmieniając się kolejno i następując jedni po drugich, zmuszali go nieraz do słuchania spowiedzi szesnaście, siedmnaście, a nawet ośmnaście godzin z rzędu. I to nietylko z okazyi przygotowania się na uroczystość św. Alojzego, ale także przed innemi świętami w ciągu roku. Ciężka ta a wytrwała praca w konfesyonale nie mogła ujść baczności i nie mogła nie sprawić silnego wrażenia na umyśle uczęszczających do *kaplicy świątecznej* chłopców. Wielu z nich, nawet takich, co przedtem wiedli życie swawolne, widząc, jak biedny kapłan poświęca dla nich życie, bez żadnych osobistych widoków, bez jakichś korzyści doczesnych, zaczęli skupiać się i wchodzić w siebie; poczynali zastanawiać się na seryo nad stanem swojej duszy i łatwiej dawali nakłaniać się do zmiany życia widokiem takiego przykładu, aniżeli gdyby byli słyszeli najlepsze kazanie.

Na tem nie koniec. Wielu chłopców, uczęszczających do *kaplicy świątecznej*, a zwłaszcza pozaturyńskich, jeszcze nie było otrzymało Sakramentu Bierzmowania św. Z tego powodu powziął X. Bosko myśl, poprosić Najprzew. X. Arcybiskupa, by raczył w dzień św. Alojzego udzielić go chłopcom w samemże Oratoryum. Udawszy się tedy do X. Arcybiskupa Fransoni'ego, przedłożył mu całą rzecz, prosząc o ten zaszczyt w imieniu swoich wychowanków. Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz przyjął zaprosiny bardzo łaskawie, zapewniając X. Bosko, że nietylko przybędzie do Oratoryum, by chłopcom udzielić Bierzmowania św., ale że tam odprawi Mszę i rozda im Komunię św.

Niepodobna opisać, jaką wieść ta wzbudziła między chłopcami radość, ale trudno także przychodzi opowiedzieć, jaki nawał pracy spadł wtenczas na ich kierownika. Zwykły niedzielny katechizm już nie wystarczał; by młodzież przygotować na czas, trzeba go było wykładać każdodziennie wieczorem. Tak urządzone wszakże kursa, miasto osłabić, zwiększyły owszem napływ pragnących z nich korzy-

stać uczestników. Mimo to, z pomocą kilku gorliwych kapłanów, a nawet niektórych osób świeckich z miasta, zdołał X. Bosko młodzież przygotować należycie, tak iż w dzień oznaczony, wszystko było gotowe i czekało tylko przybycia Najprzewielebniejszego X. Arcypasterza.

Pierwszy to raz Arcybiskup turyński, X. Alojzy Fransoni, przybywał w odwiedziny do Oratoryum i po raz pierwszy w *kaplicy świątecznej* miał się odprawić podobny obrzęd uroczysty; nie dziw więc, że lubo ubodzy, nie szczędzili jednak chłopcy niczego, byle uroczystość odbyła się jak najświetniej. Śpiewacy zatem odbywali ustawiczne próby, by wystąpić poczestnie i dać usłyszeć najpiękniejsze utwory muzyczne, jakie mieli w swym repertoarze; mianowani *ad hoc* zakrystyanie przystroili kapliczkę, ile możności, gustownie, a niemając obić, uzupełnili ich brak, jak się dało, kawałami płótna i (stosownie do włoskiego zwyczaju) kołdrami z łóżek. Za ich to staraniem również wzniósł się obok ołtarza skromny baldachim, a przy wejściu do kapliczki wcale piękny łuk, pokryty zielenią i kwiatami, z następującym napisem: *Przy pierwszych Twoich odwiedzinach, Dostojny Arcypasterzu, witają Cię wychowankowie i przełożeni Oratoryum radośnie, składając Ci w ofierze wieniec synowskich swoich uczuć.*

Nawet dzwonnicy *kaplicy świątecznej* nie zapomnieli, jak ważną w tym dniu mieli do spełnienia funkcyę. Ponieważ Oratoryum w owym roku nie posiadało jeszcze ani własnej dzwonnicy, ani dzwonów spiżowych, by módz z miejsca głośno całemu sąsiedztwu obwieścić uroczystość, schwycili za dość duży dzwonek i już w wigilię święta krążyli po Valdocco, dzwoniąc *opportune et importune* i dając znać wszędobec i każdemu z osobna, jako nazajutrz w Oratoryum obchodzi się uroczyście dzień św. Alojzego, uświetniony obecnością samegoż Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa. Inni znowu, tak duchowni jak i świeccy, przygotowywali bilety do rozdania chłopcom na znak otrzymania Sakramentu Bierzmowania św.; niektórzy przysposabiali jeszcze w ostatniej chwili chłopców do Spowiedzi i Komunii św.; kilku wreszcie uczyło dobrane z nich grono deklamacyi, recytowania umyślnie na jutrzejszą uroczystość ułożonych dyalogów i odbywali ostatnie próby mającej się odegrać sztuki teatralnej: X. Dr. Jacek Carpano ułożył bowiem i wyuczył chłopców komedyjki, pod tytułem: *kapral napoleoński*, mającej być przedstawioną w obecności X. Arcybiskupa. X. Bosko ze swej strony wziął na siebie obmyślenie i przygotowanie wszystkich szczegółów, kierował osobiście przygotowaniami, dawał rozporządzenia i pilnował, by były jak najlepiej wykonane. Słowem, w tych dniach wszystko było w gorączkowym ruchu, a myśli, słowa i czynności każdego miały jeden tylko wytknięty cel: święto św. Alojzego i przyczynienie się ze swej strony wszystkiemi siłami, by je obchodzić w sposób jak najgodniejszy.

Aż oto nadeszła nareszcie tak długo oczekiwana uroczystość. Ażeby wszyscy mogli w niej wziąć udział, postanowiono przenieść święto nie na którą z niedziel, lecz na dzień 29go czerwca, święto św. Apostołów Piotra i Pawła, a to dlatego, ponieważ w tym dniu chłopcy nie potrzebowali udawać się do majstrów po tygodniową zapłatę, ani też byli zobowiązani przebywać we fabryce lub warsztacie: owszem, począwszy od samego rana byli najzupełniej swobodni. Jakoż o wczesnej godzinie pokaźna ich liczba oblegała konfesyonały, w których słuchali spowiedzi X. Bosko i kilku innych kapłanów, a około 7ej natłoczyło się ich tyle, jak nigdy przedtem. Zdawało się, jakoby wszystka młodzież turyńska zbiegła się tego dnia do Oratoryum; to też wielu z pomiędzy tych, co tego dnia nie mieli, tak jak ich towarzysze, otrzymać Sakramentu Bierzmowania św., musiało stać poza kaplicą, a byli i tacy, co musieli pójść na Mszę św. do kościoła *Matki Boskiej Pocieszenia* (Consolata).

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



Przesyłam w załączeniu ofiarę jako *votum* dla Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki za wysłuchanie pewnej mej prośby, oraz jako polecenie się Jej opiece, prosząc o nowennę w Oratoryum turyńskiem na intencyą, abym z wszelkich obecnych, nieprzyjemnych zatargów i interesów pieniężnych, na słuszności opartych, wyszedł zwycięsko.

Skarlin (Prusy Zachodnie).

Franciszek R.





Punta Arenas, kwiecień 1898.

Czcigodny Księże Redaktorze,

Przybyłem nareszcie szczęśliwie na miejsce, od Przełożonych mi naznaczone, tj. do **Ziemi Ognistej**. Do tego czasu miałem z tutejszymi **Indyanami** o tyle już do czynienia, że mogłem się z nimi nieco bliżej zapoznać, czyli innemi słowy: o tyle, że mogę już o nich coś rodakom moim opowiedzieć; resztę uzupełnię wiadomościami, otrzymanemi od misyonarzy naszych, dawniej i dłużej odemnie w tych stronach przebywających.

Wszyscy podróżnicy, kupcy, misyonarze i t. d., a wogóle wszyscy, co mieli dotąd do czynienia z **Indyanami**, zamieszkującymi **Ziemię Ognistą** i wyspy, tejże przyległe, byli i są — co się ich tyczy, — *jednego* zdania: uważają ich pospolicie jako lud ze wszystkich może, jakie zamieszkują kulę ziemską, najbardziej upośledzony, na najniższym stopniu cywilizacyi stojący, prawie do zwierząt podobny.

Jeżeli słusznem jest, co twierdzi **X. Onufry Kopczyński** w pierwszych słowach wstępu tak bardzo swojego czasu cenionej gramatyki języka Polskiego, że „*różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową,*“ to o **Indyanach**, zamieszkujących **Ziemię Ognistą** (czyli t. z. **Fueginach**), — gdyby chodziło o podanie różnicy, jaka zachodzi między nimi a zwierzętami, — nawet **tyle** powiedziećby nie można, gdyż w całem ich postępowaniu i sposobie życia dostrzedz wprawdzie można **instynkt**, jakim od Wszechmocnego Stwórcy obdarzone są nawet zwierzęta, ale prawie ani śladu **rozumu**.

Już prędzej chyba dałoby się do nich zastosować słynną definicyą „*człowieka,*“ podaną przez jednego ze starożytnych filozofów: *animal bipes, implume* (= istota żyjąca, dwunożna, bez pierza), — tak dalece przyzwyczajono się kłaść biednych **Fueginów** na równi ze zwierzętami, należącemi do rodzaju ludzkiego tylko dlatego, ponieważ mają mowę artykułowaną i zewnętrzne kształty człowieka.

Jakkolwiekbądź, dla nas misyonarzy krajowcy tutejsi nie stanowią bynajmniej jedynie przedmiotu do studyów **antropologicznych**: we wszystkich **Fueginach** razem wziętych i w każdym z osobna widzimy przedewszystkiem to, o czem zwykle zapominają uczeni, tj. istotę, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże, a zwłaszcza dopatrujemy się w nich duszy, nieśmiertelnej jak nasza i jak nasza odkupionej Krwią najdroższą Baranka Bożego, i potośmy właśnie tutaj przyszli, ażeby **Indyanom** oczy otworzyć na światło prawdziwej Wiary, uświadomić ich, że mają duszę, nauczyć ich, jak ją mają cenić i w jaki sposób zbawić.

Zanim jednakże powiem coś o naszych pracach misyjnych w stronach tutejszych, zapoznam wpierw czcigodnych naszych **Pomocników** z **Indyanami z Ziemi Ognistej**.

Różnią się wielce od pokrewnych im **Patagończyków**, żyjących na stałym lądzie **Ameryki południowej**, na północ od **cieśniny Magellana**, a to nietylko wzrostem, ale i sposobem życia.

Patagończycy nie są wprawdzie bynajmniej olbrzymami, za jakich ich okrzyknęli pierwsi podróżnicy, co te strony zwiedzili i opisali, i za jakich dziś jeszcze pospolicie uchodzą, lecz w porównaniu do **Fueginów** przewyższają ich znacznie wzrostem, silną budową ciała i jaką taką kulturą. Na **pampas** (= *stepach*, albo *równinach*) patagońskich niema wprawdzie dotąd miast, ani wiosek **indyjskich**, w naszem tego słowa znaczeniu: są tylko niewielkie osady, z kilku, co najwyżej, złożone chałup, ale krajowcy doprowadzili w kulturze przynajmniej tak daleko, że mieszkają w szałasach (*toldos*), lub namiotach, i że noszą na sobie coś zeszytego ze skór zwierzęcych, co można nazwać ubraniem, — podczas gdy mieszkańcy **Ziemi Ognistej** i wysp przyległych zaledwie w drobnej cząstce są *troglodytami* (= zamieszkują jamy w ziemi, jaskinie i pieczary), przeważnie zaś żyją pod drzewami (co znaczy prawie tosamo, co *pod gołem niebem*) i do dziś dnia nie umieją sobie sporządzić przyodziewku.

Wzrostu są średniego, barczyści, głowę mają wielką, szyję krótką a grubą, tak że patrząc na nich wydaje się, jakoby im głowa wprost wyrastała z ramion. Włosy mają czarne, gęste i twarde, które nigdy nie wypadają, a nader rzadko siwieją, i których oni nigdy nie czeszą ani strzygą, lecz od czasu do czasu, gdy są zbyt już długie i pełne robactwa, opalają nad ogniem. Niekiedy wiążą je skręconem jelitem z jakiego zwierzęcia, lub wąskim skrawkiem skóry, ażeby się nie rozsypywały; w ten oto sposób ujęte włosy służą im za sajdak, albo kołczan, w które wtykają strzały, kiedy udają się na polowanie, lub wyprawę wojenną. Nos mają szeroki, krótki a płaski; oczy czarne, żywe a małe, głęboko utkwione, tak że ledwie je widać, osobliwie kiedy się śmieją, lecz tak bystre, że przedmioty oddalone, które my możemy dojrzeć tylko za pomocą teleskopów, oni je widzą w sposób naturalny, i dlatego gdy strzelają z łuków, rzadko kiedy chybiają celu. Kadłub mają gruby, osadzony na nogach krótkich, skórę ciała ciemno-żółtawą. Wąsów ani brody (podobnie jak tyle innych szczepów indyjskich **Ameryki południowej**) nie noszą; wogóle nie mogą znieść ani jednego włoska po całem swojem ciele: wyrywają je wszystkie, nie wyłączając rzęs i brwi. Czoło mają wysokie, okrągłe i wystające, twarz szeroką, pełną, nieledwie kwadratową a płaską; nie można jej inaczej nazwać, jak brzydką, wyraz twarzy jest głupkowaty, lecz nie nieprzyjemny.

Jestto lud nad wyraz niedołężny, nie trudniący się niczem, jak polowaniem i szukaniem żywności po lasach i na wybrzeżu morskiem, kiedy po odpływie morza pozostały na piasku ślimaki, zdechłe ryby i t. p. specyały. Ale nawet żywności szukają dopiero wtenczas, kiedy ich głód do tego zmusi: zresztą spędzają czas w gnuśnej bezczynności, leżąc blisko ognia, który utrzymują we dnie i w nocy, lub co najwyżej, przygotowując sobie broń i iskając jeden drugiego (= wybierając sobie kolejno robactwo z włosów).

Są nadzwyczaj niechlujni; nie czyszczą nigdy legowisk, w których przebywają, a gdy niechlujstwa nawet ich zdaniem nazbiera się już zanadto, to zamiast je usunąć, wolą sami przenieść się na inne miejsce, gdzie znów powtarza się tasama historya.

Noce przepędzają w następujący sposób. Oto zimą czy latem rozpalają na wieczór większy, niż zwykle, ogień gdzie pod jakiem drzewem. Przy tym ogniu kładzie się na ziemi najprzód najstarszy i najdłuższy członek rodziny, na nim umieszcza się trochę mniejszy, na tym znów jeszcze mniejszy i tak dalej, aż nareszcie wierzchołek owego żywego stosu, czy piramidy, stanowią dzieci, a na nich leżą psy, które się zawsze wdrapią najwyżej i których zadaniem w nocy jest, ogrzewać dzieci i chronić je od zimna, deszczu, lub śniegu.

Leżąc tak na sobie, starają się oddychać jednostajnie — jakto się mówi: *w takt*, — ażeby to zaś osiągnąć, przyśpiewują sobie na komendę najstarszego i najdłuższego członka rodziny, leżącego na samym spodzie: *u-i, u-i, u-i*, — głos, który nieprzymierzając, w niczem się nie różni od kwiku pewnych naszych zwierząt nierogatych.

Jeśli rodzina jest mniej liczna, w takim razie ojciec, lub matka, kładą sobie dzieci na żywot, lub nogi, a na nich dopiero sadowią się psy, które tem samem, chociaż tylko w nocnym czasie, stają się członkami rodziny.

Chociaż od tylu już wieków i tak daleko wysunięci w strefie zimnej, nie nauczyli się do dzisiaj, zeszyć kilka skór razem, choćby tylko za pomocą ciernia lub rybiej ości, i sporządzić sobie z nich jaki taki przyodziewek, chroniący ich od dokuczliwego zimna, lub niepogody: noszą na sobie zwykle jedną skórę (z *guanaka*, czyli sarny patagońskiej, albo też *foki*, czyli psa morskiego), a jedna ręka jest zawsze zajęta trzymaniem tej skóry na sobie.

Mają jeszcze jeden sposób strzeżenia się od zimna: nasamprzód nie myją się nigdy, to też na całem ciele tworzy się gruba warstwa brudu i wszelkiego niechlujstwa. Nie dość na tem; zimą smarują nadto ciało masą, złożoną z gliny, tłuszczu z *psa morskiego*, krwi i własnych ślin, — nie dziw więc, że każdy **Indyanin** wydziela ze siebie fetor nieznośny.

Nie można ich w żaden sposób nakłonić, ażeby się myli. Nasi misyonarze biorą ich nieraz ze sobą na brzeg morski, wchodzą razem z nimi po kolana w wodę i dają każdemu po kawałku mydła, pokazując im, jak go mają używać. Wszelkie perswazye i namowy nie zdadzą się na nic: lekcya mycia kończy się regularnie w ten sposób, że uczniowie połykają mydło, jakby jaki przysmaczek, ciesząc się niezmiernie ze swojego konceptu i wskazując sobie na brzuch, wołają: *muy bueno*! (= bardzo dobre!).

Jedzą, a raczej żrą, straszliwie wiele. Licząc przeciętnie, jeden tutejszy **Indyanin** zjada tyle, co u nas sześciu, jednakże w razie potrzeby umieją znosić cierpliwie głód i długie posty. Tłuszcz i łój najwstrętniejszy stanowi dla nich najlepszy przysmak. Kiedy im morze czasami wyrzuci na brzeg jakiego zdechłego *psa morskiego*, a zwłaszcza (bo i to w tych stronach, gdzie przechodzą stałe *prądy morskie* zimne, w kierunku od *bieguna lodowatego południowego* ku *równikowi*, zdarza się, lubo rzadko) *wieloryba*, wtenczas nie posiadają się z radości. W lot całe wybrzeże roi się od **Indyan**, rzucają się chciwie na zdechlinę, rozszarpują ją w kawały, żrą tyle, ile kadłub zdoła zmieścić, resztę zaś wloką i zagrzebują w ziemi, pilnując padliny, jak źrenicy oka, przed sąsiadami, a więcej jeszcze przed własną wygłodzoną psiarnią. Tłuszcz ten wielorybi cuchnie do tego stopnia, że **Europejczycy** mdleją, poczuwszy go choćby tylko zdaleka, a tymczasem **Fuegini** spożywają go z największą rozkoszą.

Zresztą żywią się rybami, żabami, myszami, ślimakami, a wogóle tem, co im morze w czasie przypływu wyrzuci na brzeg; udają się zaś po ten łup regularnie po każdym odpływie morza (dwa razy na dobę) wiadomą sobie, wydeptaną ścieżką, prowadzącą z lasów, w których przebywają, na wybrzeże. Gdy zabraknie ryb, nie gardzą trawą albo liśćmi, a zwłaszcza korzonkami, wygrzebanymi z ziemi. Jedzą także jagody leśne, których tu latem jest bardzo wiele, a które także my z wielkim zajadamy smakiem. Zresztą lasy tutejsze nie obfitują zgoła w drzewa owocowe, a kilka gatunków takich drzew, które tu i owdzie się napotyka, wydaje owoc gorzki i niestrawny.

Czy **Indyanie** z **Ziemi Ognistej** są ludożercami, trudno coś pewnego w tej sprawie orzec; podobno jedzą także mięso ludzkie, zwłaszcza zabitych nieprzyjaciół, oraz kobiet, gdy już są stare i do niczego niezdatne.

Ryby, żaby i mięso jedzą surowe, lub, co najwyżej, na pół upieczone. Chleba wcale nie znają, gdyż zboże tu całkiem nie rośnie, tj. nie uprawia się go tutaj, jak wogóle nie uprawia się ziemi, — a gdy ich się chlebem poczęstuje, to go wypluwają, twierdząc, że jest niesmaczny. Jednakże *suchary*, czyli, jak oni mówią *galetas*, jedzą chętnie. Zato gardzą wszelkiego rodzaju zupami, rosołem i t. p. i nietylko że ich sobie sami nie gotują (nie mieliby też, co prawda, w czem), ale odrzucają od siebie ze wstrętem, jeżeli ich się czemś podobnem poczęstuje.

Kl. Szymon Wolny.

(Dokończenie nastąpi).

ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Czcigodnych OO. Salezyanów mam zaszczyt zawiadomić, że ten p. doktor, co przeszło 20 lat się nie spowiadał, a za którym w Oratoryum salezyańskiem w Turynie nowenna się odprawiała, — nawrócił się i po tylu latach na Wielkanoc b. r. znowu przystąpił do Sakramentów św. Za co gorąco Bogu Wszechmogącemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, dziękuję.

Kraków (Galicya).

S. Augustyna Konarzewska,
Przełożona PP. Augustyanek.

***

Posyłam ofiarę na odprawienie Mszy św. dziękczynnej za odzyskanie zdrowia i otrzymane dobrodziejstwa, za które serdeczne dzięki składam Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych.

Wyrzysk (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Franciszek Kordyk.

***

Przysyłam maleńką ofiarę na podziękowanie Panu Bogu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożenia Wiernych, za uzdrowienie dzieci moich z ciężkiej choroby, oraz za polepszenie w chorobie matki i proszę pokornie Pannę Najświętszą, aby matkę moją uzdrowiła zupełnie.

Borek (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Agnieszka Gogulska.

***

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Całem sercem wyrażam podziękowanie Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, w Oratoryum salezyańskiem w Turynie łaskami słynącej. Zeszłego miesiąca spotkało mnie przy pracy nieszczęście. Wtenczas ślubowałem Matce Najświętszej Wspomożycielce, że jeżeli mi wyprosi u Pana Boga prędkie wyzdrowienie, poślę jałmużnę na cele salezyańskie. Łaskę tę otrzymałem; ani jednej szychty nie opuściłem. Za co raz jeszcze serdeczne dzięki składając Boskiemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej wiernych chrześcijan Wspomożycielce, przysyłam ofiarę i proszę o Mszę św. dziękczynną przed Jej ołtarzem.

Chorzów (Górny Śląsk).

Alojzy Friedrich, górnik.

***

Czcigodnego X. Redaktora proszę o łaskawe umieszczenie w **„Wiadomościach salezyańskich“** gorącego podziękowania Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za przywrócenie zdrowia córce mej, Bronisławie. Również dziękuję za uzyskane stypendyum dla mego syna.

Trzemeszno (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Konstancya Piechocka.

***

Wraz z innemi, posyłam kochanym OO. Salezyanom drobną moją ofiarę (10 marek), którą byłam obiecała Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, gdyż po odprawieniu nowenny mogę już o wiele lepiej chodzić, a co największą mi radość sprawia, uczęszczać do kościoła. Ufam mocno, że Najświętsza Wspomożycielka mi także dalej dopomoże, proszę Was zatem, czcigodni Ojcowie, żebyście wraz ze swoją dziatwą modlili się dalej za mną i mnie niegodną polecali Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Matce. Lekarstwa bowiem nic mi nie skutkują, a lekarze otwarcie powiadają, że już mi nic nie pomoże; ja jednak ufam w pomoc niebieskiej Lekarki i wbrew wszystkiemu wierzę, że Ona mnie nie opuści.

Tsch. Ellguth (Górny Śląsk).

Anna Dziwisz.

***

Czcigodnym OO. Salezyanom przesyłam ofiarę na podziękowanie Bogu Wszechmogącemu i wstawieniu się Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki za dotychczasowe doznane łaski, z prośbą o dalsze modlitwy o błogosławieństwo Boże.

Pleszew (Wielkie Księstwo Poznańskie).

J. Sierszulski.

***

Tysiąckrotne dzięki składam Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wier

nych, za spieszną pomoc, udzieloną mojej ciężko chorej siostrze. Wszyscy lekarze, u której ratunku szukała, uznali ją za nieuleczalnie chorą. Gdy ziemska pomoc zawiodła, udaliśmy się do niebieskiej Wspomożycielki. Prosiłam o odprawienie nowenny na naszą intencyą do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Chrześcijan, w Turynie łaskami słynącej, ślubując ogłoszenie otrzymanej łaski w **„Wiadomościach salezyańskich.“** Ufność ta nasza i nadzieja, pokładana w niebieskiej Lekarce, została nagrodzoną. Zaraz w pierwszych dniach nowenny zauważyliśmy wszyscy widoczną zmianę na lepsze w stanie obłożnie chorej. Łaskę tę — takie jest nasze silne przekonanie — zawdzięczamy wyłącznie pomocy Najśw. Maryi Panny, która była, jest i będzie zawsze źródłem niewyczerpanem łask wszelkich dla nas grzeszników. Za to tysiąckrotne, publiczne składamy Jej wszyscy dzięki. Oby wszyscy, w podobnych utrapieniach i dolegliwościach się znajdujący, uciekać się chcieli do Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, a niezawodnie, taksamo jak my, znajdą u Niej pomoc i pocieszenie.

Raciborz (Górny Śląsk).

Marya Długosz.

***

Już raz w jesieni zeszłego roku udawaliśmy się do OO. Salezyanów i wychowywanych od nich sierot z prośbą o modlitwy celem uproszenia zdrowia dla X. J. B., proboszcza gorliwego i nadzwyczaj potrzebnego tutajszej parafii. Modlitwy zostały wysłuchane; zacny kapłan przez pół roku cieszył się cudownem (że tak się wyrażę) uzdrowieniem. Mamy więc nadzieję, że i teraz modlitwom Waszych sierot zawdzięczać będziemy tę łaskę, tak bardzo upragnioną.

Stawiszcze (Ukraina).

L. Bielińska.

***

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, oraz Boskiemu Sercu Pana Jezusa, składam publiczne dzięki za uzdrowienie naszego syna z niebezpiecznej choroby i błagam gorąco o dalszą pomoc.

Michałkowice (Górny Śląsk).

W. J. D.

***

Czcigodnym OO. Salezyanom i wychowywanej przez nich dziatwie w Oratoryum turyńskiem serdecznie dziękuję za wstawienie się za mną swemi modlitwami. Niech Bóg Wszechmogący za to Wam zapłaci. Zarazem upraszam o umieszczenie w **„Wiadomościach salezyańskich,“** następującego dziękczynienia, które w czasie mej choroby byłam ślubowała:

Serdeczne dzięki składam Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za łaskę, po odprawieniu nowenny w Oratoryum salezyańskiem w Turynie, otrzymaną.

Wieszowa (Górny Śląsk).

M. M.

***

Proszę umieścić w **„Wiadomościach salezyańskich“** podziękowania Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za orędownictwo Jej i wysłuchanie mojej prośby w pewnej ważnej sprawie.

Polecam się nadal modlitwom czcigodnych OO. Salezyanów.

Poznań.

Z. Badurski.

***

Serdeczne składamy dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za doznaną łaskę, którą otrzymałyśmy za Jej przyczyną, i polecamy się nadal Jej Opiece. Równocześnie posyłamy skromną ofiarę, prosząc, aby dziękczynienie nasze umieszczone było we **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Imielnica (Górny Śląsk).

N. N.

***

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, w Oratoryum salezyańskiem w Turynie łaskami słynącej, dzięki serdeczne składam za wysłuchanie moich próśb w pewnej bardzo dla mnie ważnej, a nader zawikłanej sprawie.

Proszę o ogłoszenie tej łaski na większą cześć Najświętszej Wspomożycielki we **„Wiadomościach salezyańskich“** i obiecuję, że ile tylko będę mógł, przysyłać będę od czasu do czasu ofiary na potrzeby salezyańskie.

S..... (Wielkie Księstwo Poznańskie).

J. P. N.

***

Serdeczne dziękczynienie składam Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, gdyż po odprawieniu nowenny w Oratoryum turyńskiem otrzymałam łaski, o jakie byłam prosiła.

Najświętsza Maryo Panno, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami grzesznymi, którzy się do Ciebie uciekamy, i wysłuchaj zawsze nasze prośby!

Lubie (Górny Śląsk).

Marya Koerner.

***

W imieniu całej rodziny Nowackich składam najpokorniejsze podziękowanie Pannie Najświętszej, Wspomożycielce Wiernych, polecając się także nadal Jej macierzyńskiej Opiece.

Brodnica (Wielkie Księstwo Poznańskie).

J. Nowacki, ogrodnik.

***

Przysyłam na cele salezyańskie ofiarę na podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za otrzymane łaski, prosząc o polecanie w modlitwach przemożnej Opiece tejże Najświętszej Panny mnie i całej mojej rodziny.

Rozdzin (Górny Śląsk).

Albert Marzoll.

***

Piotr Adamek pokorne zanosi dzięki za łaski otrzymane i poleca także nadal siebie i swoją rodzinę Opiece Królowej Nieba, Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, prosząc o umieszczenie swego podziękowania w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Janków zaleśny (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Ignacy Duczmal.

***

Na podziękowanie za otrzymane łaski od Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, przesyłam ofiarę na cele salezyańskie.

Herminenhütte (Górny Śląsk).

Agnieszka Grabowska.

***

Z wdzięczności za odebraną łaskę za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, nadsyłam ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego.

Mieścisko (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Agnieszka Cofta.

***

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, najserdeczniejsze składa dzięki A. M. za polepszenie w jego niebezpiecznej chorobie po odprawieniu nowenny w Oratoryum salezyańskiem w Turynie.

Karb (Górny Śląsk).

Jan Kozak.

***

Wiel. OO. Salezyanom i wychowywanej przez nich dziatwie w Oratoryum turyńskiem serdecznie dziękuję za nowennę za mną niegodnym, odprawioną przed cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, bo odprawiwszy wspólnie z Wami nowennę a w ciągu tejże przystąpiwszy do Sakramentów św., straciłem chorobę i jestem teraz zdrów.

Jaktorów (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Jakób Jeliński.

***

Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Chrześcijan, jest najlepszą adwokatką! — W lipcu z. r. byłem winowany, iż z przyczyny mojego niedbalstwa stało się nieszczęście na kolei żelaznej, za co miałem na dobitkę ponosić wszelkie wynikłe stąd szkody. W tem utrapieniu udałem się z prośbą o pomoc do Najsłodszego Serca Jezusowego i Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, odprawiając nowenny, jednę za drugą, i przystępując często do Sakramentów św., źródła wszelkich łask Bożych. Terminy w mojej sprawie ciągły się aż do końca lutego b. r., aż wreszcie niewinność moja została udowodnioną. Za to całem sercem dzięki składam Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej Wspomożycielce.

Borsigwerk (Górny Śląsk).

Ludwik Pietrek.

***

Wraz z żoną nadsyłam datek na potrzeby salezyańskie, prosząc o łaskawe tegoż przyjęcie. Jestto ofiara, Matce Boskiej Wspomożycielce przez nas złożona, za łaskę, jakiej doznaliśmy w szczęśliwem przeprowadzeniu majątkowych stosunków, właśnie za przyczyną tejże Najświętszej wszystkich wiernych chrześcijan Wspomożycielki. Łaskę tę otrzymaną prosimy pokornie ogłosić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Cielimowo (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Kasper i Katarzyna Nowakowie.

***

Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu

Wiernych, nadsyłając ofiarę na potrzeby Zgromadzenia salezyańskiego, z serca płynące wyrażam dzięki za odebrane łaski, polecając się również nadal Ich Opiece.

Katowicka Halda (Górny Śląsk).

Joanna Blaszka.

***

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Wspomożycielka Wiernych! — Za polepszenie się w ciężkiej chorobie mojej żony, mnie i syna, składamy serdeczne dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Jego Najświętszej. Zarazem dołączam ponownie ofiarę na cele salezyańskie i proszę uprzejmie o odprawienie Mszy św. dziękczynnej przed cudownym obrazem Najświętszej Wspomożycielki, jak również o nowennę o dalsze zdrowie i na inną jeszcze intencyą.

Kunzendorf (Górny Śląsk).

B. Plewnia.

***

Upłynęły już dwa lata, jak mąż mój pojechał do Ameryki, zostawiając mnie z pięciorgiem dzieci w kraju i nie dając znać o sobie. Po odprawieniu nowenny przez dziatwę salezyańską w Oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie odebrałam po raz pierwszy od niego list i dokładny adres.

Pobiedziska (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Józefa Frankiewicz.

***

Chwała i cześć niech będzie zawsze Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych! — Serdecznie dziękuję Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za otrzymaną łaskę. Po odprawieniu nowenny w Oratoryum turyńskiem tak dalece mi się zdrowie polepszyło, że już mogę gospodarstwem się trudnić. Z wdzięczności posyłam na cele Zgromadzenia salezyańskiego ofiarę, prosząc, iżby dziękczynienie umieszczono w **„Wiadomościach salezyańskich."**

Rudne Piekary (Górny Śląsk).

Marcina Sadoń.

***

Z wdzięczności za łaski otrzymane nadsyłam wraz z żoną ofiarę na światło przed cudowny obraz Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, w kościele salezyańskim w Turynie.

Bydgoszcz (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Franciszek Kroll.

***

Zasyłając ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego proszę jednocześnie o umieszczenie w piśmie Waszem następującego dziękczynienia:

W czerwcu z. r. zachorowało nagle nasze dziecię na zapalenie gardła, i to tak ciężko, że przywołany lekarz stracił nadzieję, by mogło być utrzymanem przy życiu. Gdy ludzka pomoc zawiodła, ucieklismy się o nią do niebieskiej Lekarki, przyrzekając Najświętszej Wspomożycielce Chrześcijan, w Turynie łaskami słynącej, że złożymy na Jej cześć ofiarę, jeżeli dziecinie zdrowie przywróci. Nieprózna była nasza prośba, gdyż już następnego dnia stwierdził lekarz znaczne polepszenie, którego niepodobna sobie inaczej wytłómaczyć, jak tylko potężnemu orędownictwu i wstawieniu się Najświętszej Wspomożycielki, dzięki któremu dziecina nasza nietylko została przy życiu, ale zawsze czerstwem cieszy się zdrowiem.

Królewska Huta (Górny Śląsk).

J. i E. Kalla.

***

Na podziękowanie za otrzymane łaski od Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, przesyłają ofiarę na cele salezyańskie:

Marya Campbell (Kraków);

I. Bartosz ze Stęszewa (Wielkie Księstwo Poznańskie);

Agnieszka Grabowska z Herminenhütte (Górny Śląsk);

Antoni i Marya Kotyłłowie z Biskupic (Górny Śląsk), za przywrócenie zdrowia dziecięciu;

Paulina Domańska z Czeladzi (Królestwo polskie), w imieniu pewnej osoby, za uzdrowienie dziecka;

p. Jabłonka z Bagna (Górny Śląsk), za przywrócenie wzroku jego córce;

Anna Bock z Gąsiorowic (Górny Śląsk), za otrzymanie zdrowia;

Szymon Borszcz z Kłodnicy (Górny Śląsk), za otrzymanie posady dla syna;

p. Grzybowska z Wielichowa (Wielkie Księstwo Poznańskie), za znaczne polepszenie w chorobie;

Marya Grabowska z Rokicz (Górny Śląsk), za polepszenie w chorobie męża;

Antonina Synowiec z Mysłowic (Górny (Śląsk);

M. Ch. z Rozdzienia (Górny Śląsk), za polepszenie w chorobie męża;

Magdalena Kędziorczyk z Brzezinki (Górny Śląsk);

Anna Gajer z Brzezinki (Górny Śląsk);

Karolina Wojtyczka z Brzezinki (Górny Śląsk);

Walenty Sojka z Jelowy (Górny Śląsk), za otrzymanie zdrowia;

Andrzej Dyballa z Bobrka (Górny Śląsk);

Bruno Malina z Królewskiej Huty (Górny Śląsk);

Joanna Przypadło w imieniu czterech osób z Raciborza (Górny Śląsk);

F. S. z Szurgastu (Górny Śląsk), za szczęśliwy przebieg słabości;

Rozalia Graff z Granowca (Wielkie Księstwo Poznańskie), za szczęśliwie przebytą operacyę;

Józef Wyleżoł z Niekarmu (Górny Śląsk), za wyleczenie z choroby;

Józefa Kostrzewska z Wolsztyna (Wielkie Księstwo Poznańskie), za wygranie procesu;

Stefan Buhl z Jelowy (Górny Śląsk);

Jakób Wenda z Nowego dworu (Prusy Zachodnie), za otrzymane zdrowie;

Antonina Pasiecznik z Wygnanki (Galicya), za odzyskane zdrowie;

Józef Kowolik z Huty Huberta (Górny Śląsk);

Katarzyna Dodzik z Chropaczowa (Górny Śląsk);

Antoni Kwiatkowski z Inowrocławia (Wielkie Księstwo Poznańskie);

Józef Franka z Jankowa zaleśnego (Wielkie Księstwo Poznańskie);

pewna żona z Dębskiej kuźni (Górny Śląsk), za uzdrowienie swojego męża;

Andrzej Labiński z Rozdzienia (Górny Śląsk);

Marcin Ratajczak z Taniborza (Wielkie Księstwo Poznańskie);

Ludwina Kycia z Rudy (Górny Śląsk), za spokój w małżeństwie;

Barbara Guttmann z Rudy (Górny Śląsk), za otrzymanie zdrowia;

Tekla Słotta z Wieszowy (Górny Śląsk);

Wiktor Bagsik z Wieszowy (Górny Śląsk), za uzdrowienie z ciężkiej choroby;

Paweł Krawczyk z Radzionkowa (Górny Śląsk), za operacyą, która się bardzo szczęśliwie udała;

X. Lendzion, proboszcz, z Jastarni pod Puckiem (Prusy Zachodnie) *Beatissimae Virgini Mariae, Auxilio Christianorum, in gratiarum actionem ex voto*;

Michał Biel z Lubczy (Galicya), dziękując za łaski otrzymane, prosi o nadesłanie medalików Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. „*Medalików nam zawsze potrzeba, bo okazało się, że kto tylko je z żywą wiarą nosi, to Najświętsza Wspomożycielka z nim.*“

***

Pocieszycielko utrapionych, módl się za nami! — „.... Wiadomo Wiel. X. Redaktorowi, że życzeniem Rodziców moich było zawsze, mieć mnie w pobliżu siebie, a najchętniej widzieliby, gdybym raz na zawsze w domu z nimi przebywał. W tym celu, kiedy cesarz rosyjski, Mikołaj II, bawił w Y., brat mój w porozumieniu z Rodzicami wysłał odnośną prośbę na jego ręce, na co mu, jak zwykle w takich razach odpowiedziano: *Kancelarija Ego Imperatorskago Wieliczestwa po priniatiu proszenia* i t. d., czyli nic pewnego. W tym samym czasie, pragnąc Rodziców w jakikolwiek sposób pocieszyć, a raczej nagrodzić im smutek i zmartwienia, jakich z powodu mnie w przeszłych latach doznali, posyłałem im od czasu do czasu wycinki z gazet i t. p., gdzie o mnie była mowa. Posyłałem je oczywiście w liście. Co się stało? Jeden z takich listów Moskale otworzyli na granicy, skonfiskowali go i chociaż posłane wycinki były najniewinniejszej treści, niemniej przeto, na ich podstawie rozpoczęli z bratem i ojcem surowe przesłuchy, grożąc im zesłaniem na Sybir. Uwiadomiony wcześnie o tem, co się stało, a doznawszy wielu już łask w życiu swojem za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, udałem się także tym razem z gorącą prośbą do Przemożnej Orędowniczki naszej, aby nieszczęście, grożące mojej rodzinie, oddalić raczyła. Najświętsza Panna zwróciła na nas miłosierne Swoje oczy, okryła płaszczem macierzyńskiej Swojej Opieki Rodziców moich i grożące im zesłanie na Sybir uchyliła. Uwolnienie nastąpiło właśnie w ciągu nowenny.

Za tę wyproszoną nam niegodnym łaskę niech będzie na wieki cześć i chwała Najświętszej wiernych Wspomożycielce!“

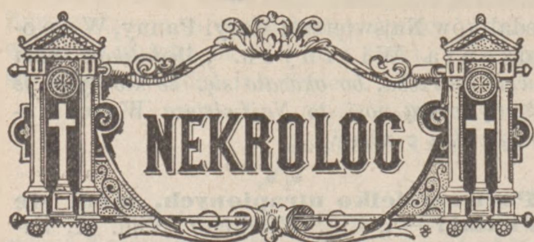
Francya.

X...

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Najprzewielebniejszy X. Dr. Jakób GLAZER, Biskup gabalitański *i. p. i.*, sufragan przemyski, — *Przemyśl*, Galicya.

Najprzewielebniejszy X. Dr. Leon REDNER, Biskup chełmiński, — *Pelplin*, Prusy Zachodnie.

Requiescant in pace!



Aranowska Franciszka, — *Lorki*, Prusy Zachodnie.
Bagsik Franciszek, robotnik, — *Wieszowa*, Górny Śląsk.
Baranowski Tadeusz, — *Berlin*, Niemcy.
Bartkowska Maryanna, — *Linowiec*, Prusy Zachodnie.
X. Biesiadzki Feliks, kanonik honorowy i proboszcz, — *Dydnia*, Galicya.
Bonczkowitz Franciszka, — *Niem. Piekary*, Górny Śląsk.
Buchczyk Agnieszka, — *Kopanina*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 100 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Budzisz Krystyna, — *Kussfeld*, półwysep *Hela*, Prusy Zachodnie.
(Rodzina nadesłała 80 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
X. Buś Andrzej, — *Kraczkowa*, Galicya.
Cempas Walerya, — *Borsigwerk*, Górny Śląsk.
Chojnacki Józef, — *Poznań*.
Chowaniec Marcin, — *Brzezinka*, Górny Śląsk.
Cock Jan, — *Rozdzin*, Górny Śląsk.
X. Ćwikliński Antoni, dziekan i proboszcz, — *Mogilno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Czaja Franciszek, — *Norok*, Górny Śląsk.
Drzewiecki Walenty, — *Pobiedziska*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Empel Walerya, — *Grodziczno*, Prusy Zachodnie.
Gawenda Tomasz, — *Rokitnica*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Golec Jakób, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
Gracek Karolina, — *Niem. Piekary*, Górny Śląsk.
Grzesik Leopold, — *Budziska*, Górny Ślask.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Gwóźdź Jan, — *Krasów*, Górny Śląsk.
X. Hanczakowski Roman, proboszcz, — *Drohobycz*, Galicya.
Hebel Katarzyna, — *Janków zaleśny*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Hennek Szymon, — *Niewodnik*, Górny Śląsk.
Jaroszewski Władysław, — *Linowiec*, Prusy Zachodnie.
Jenicz Ksawera, — *Szczakowa*, Galicya.
(Rodzina nadesłała 36 złr. na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Jerszyński Marcin, — *Jarocin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Kalytta Rozalia, wycużniczka, — *Boniowice*, Górny Śląsk.
Kimmel Kazimierz, — *Janów*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Kokot Jan, — *Rozbark* pod Bytomiem, Górny Śląsk.
Kopiec Józef, — *Zawodzie*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Kotuła Filomena, — *Szarlej*, Górny Śląsk.
X. Dr. Krechowiecki Adam, proboszcz, — *Założce*, Galicya.
Kubiczek Jakób, — *Król. Nowa wieś*, Górny Śląsk.
Langer Józef, — *Pyskowice*, Górny Śląsk.
Leopold Juliusz, — *Lwówek*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Ludiga Wawrzyniec, — *Józefka*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Marcinkowski Kasper, — *Chechłów*, Górny Śląsk.
Markowicz Jakób, — *Rozdzin*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Matuszek Mikołaj, — *Rozbark* pod Bytomiem, Górny Śląsk.
Mroskowiak Magdalena, — *Włoszakowice*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Musioł Jakób, — *Gamów*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
X. Muszyński Tomasz, zawiadowca parafii, — *Długa Goślina*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Paprocka Józefa, *Czortków* Galicya.
Pasoń Walenty, — *Opole*, Górny Śląsk.
Piętka Piotr, — *Szardziny*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Pietrecki Michał, — *Brzezinka*, Górny Śląsk.
Polok Jan, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
Pomorski Ignacy, — *Wilda* pod Poznaniem.
Skupin Emanuel, — *Bogucice*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*.
Sontag Florentyna, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
(Rodzina nadesłała 70 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich*).
Świentek Karolina, — *Laryszów*, Górny Śląsk.
Szczyrba Augustyn, — *Pawłów*, Górny Śląsk.
Szloparek Anna, — *Borki*, Górny Śląsk.
Taczyńska Agnieszka, — *Wygnanka*, Galicya.
Urbańczyk Józefa, — *Zaborze* B, Górny Śląsk.
Wojtala Antoni, — *Niwka*, Górny Śląsk.
X. Zając Jan, wikaryusz, — *Zawada*, Galicya.
Zolek Andrzej, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
Zopora Maryanna, — *Mikulczyce*, Górny Śląsk.
(Szczyrba Marcin, z *Wyrka* na Górnym Śląsku, nadesłał 60 marek na odprawienie 30 *Mszy św. gregoryańskich* za duszę, w czyscu cierpiącą, która jest najmilszą Najświętszej Maryi Pannie).

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1898.